

**WSPOMNIENIA**

# Wspomnienia Dominika Wośki – pobór do carskiego wojska

*W życiu Dominika nastąpiły duże zmiany. Jego rocznik kwalifikował się do wojska – zmuszony został do przerwania nauki w Ursynowie i został wcielony jako rekrut do armii carskiej. Na kartach swojego pamiętnika opisuje okoliczności poboru do wojska oraz długą podróż w głąb Rosji do Orenburga, gdzie rozpoczął odbywanie służby wojskowej. Szczegółowe opisy jego nowej drogi życiowej są bardzo interesujące. Wypełniają kilkadziesiąt stron wspomnień. Mamy nadzieję, że wzbudzą zainteresowanie naszych czytelników. Autor wspomnień był świadkiem wydarzeń ostatnich lat carskiej Rosji i przewrotów rewolucyjnych, które wstrząsnęły tym mocarstwem i otworzyły nowy rozdział w dziejach Rosji. Opisy Dominika będziemy zamieszczać sukcesywnie w kolejnych odcinkach.*

Dnia 2 lutego 1915 r. otrzymałem list z domu z wiadomością, że rozpoczął się przyspieszony pobór rekrutów. Dzień później na lekcję matematyki wszedł dyrektor z dwoma żandarmami, którzy kazali sobie podać dziennik lekcyjny i wynotowali z niego nazwiska i miejsce zamieszkania rodziców poborowych urodzonych w 1894 roku. Zwracając się do dyrektora, podkreślili, że ci uczniowie nie mogą już się uczyć, gdyż pod rygiem dużej kary muszą opuścić szkołę i udać się do swoich powiatów na komisję wojskową. Te słowa przyjęliśmy bez sprzeciwu, ale z wielkim niezadowoleniem. Po dzwonku po lekcji zebrała się nas gromadka składająca się z 6 uczniów. Dyskutowaliśmy nad tym, jaką obrać taktykę w dalszym naszym życiu. Pożegnałem kolegów. Trochę książek sprzedałem, a resztę wyludzili młodszy koledzy, mówiąc, że nam książki i inne pomoce naukowe nie będą już potrzebne. Spakowałem pościel i prosiłem Sączuwę, aby te rzeczy przesłał do Urzędowa. Jeszcze się ludziłem, że otrzymam odroczenie. Dnia 4 lutego z Tomkiem Kalbarczykiem wyruszyliśmy w podróż do domu. Wykupiłem bilet za 1,7 rubla do Dębina i dojechałem na „gapę” do Nałęczowa, a nie znalazłszy nikogo ze znajomych po przenocowaniu na stacji za 30 kopiejek wykupiłem przejazd do Lublina. Na ul. Św. Ducha w zajeździe spotkałem kilku znajomych z Urzędowa, a między innymi Starolca z Bęczyna, który przyjechał po towar do miejscowych sklepów. Przyrzekł mi, że po załadowaniu na wóz mąki pojedzie do zajazdu i zabierze mnie do Urzędowa. Minęło parę godzin, a on nie podjechał, więc postanowiłem pieszo udać się w drogę. Po drodze mijiał mnie wóz, którym jechał chłop do Strzeszkowic. Skorzystałem z okazji i za 50 kop. dojechałem do tej wsi. O nocleg było bardzo trudno, gdyż było dużo ludzi, przybyłych do budowy kolei. Wreszcie trafiłem do domu byłego ławnika, który znał urzędowiaków. Przyjął mnie na nocleg. W godzinach popołudniowych dotarłem wreszcie do domu. Sołtys poradził mi, abym o odrocze-

niu pomówił z Fiutem, sekretarzem gminnym. Ten mi powiedział, że z odroczeniem będzie kłopot. Żołnierzy potrzebują na front.

Staję przed komisją. Na wstępie wspomniałem o przesłanym poprzednio podaniu o odroczenie mi służby. Przewodniczący komisji uśmiechnął się ironicznie i nic nie odpowiedział. Zmierzyli moją wysokość, wagę. Lekarz pobieżnie mnie obadał i odwróciwszy głowę do sekretarza, rzekł monotonna jeden wyraz – „zdolny”. Usłyszawszy ten wyraz zapytałem: „Co z moim odroczeniem?”. Ten ręce bezradnie rozłożył. Badają drugiego delikwenta. Dnia 19 lutego mam się stawić do Lublina. Na furze z beczkami dostałem się do Szastarki, a stąd pieszo do domu. Po kilkunastu dniach znów jadę do Lublina pociągiem z Pułankowic z Piotrkim Gozdalskim. Jedziemy bez biletów. Konduktor chciał nas wyprosić z wagonu, ale tego nie uczynił, gdyż dowiedział się od nas, że jedziemy do wojska. Dnia 9 marca zakwaterowano nas w spalonym klasztorze ks. Salezjanów na Kalinowszczyźnie. Przenocowaliśmy jedną noc na słomie, a drugiego dnia wieczorem uciekliśmy przez mur (w bramie stał wartownik) przez łąki, pola do Kraśnika, a stąd do Urzędowa. Dowiedzieliśmy się w domu, że żandarmi nas poszukują. Na drugi dzień udajemy się z Piotrusiem pieszo do Kraśnika, a stąd koleją do Lublina. Zgłosiliśmy swoje przybycie. Po kilku godzinach st. podoficer zaprowadził nas parami do katedry na przysięgę. Po obiedzie dn. 12 marca załadowali nas do wagonów „cielęcych” na bocznym torze. To wsiadanie do wagonów trwało powyżej godziny. Plutonowy przydzielał partie do każdego wagonu, rekruci przesiadali się, aby jechać ze znajomymi. Pociąg z rekrutami z Lublina ruszył w drogę około południa. Jechaliśmy wagonami towarowymi – „cielęcymi”. Wagon miał dwoje rozsuwanych drzwi i 4 małe okna bez szyb, niektóre były zakratowane. W razie mrozu wagon był opalany węglem w żelaznym piecyku. Przy piecu stało wiadro z węglem, a drugie z wodą do picia. Na jednej z dłuższych ścian wisiała mała lampka naftowa, która trochę oświetlała wagon. Pociąg ten składał się z kilkunastu wagonów. Od parowozu do ostatniego wagonu z hamulcem i hamulcowym przecignięta była wzdłuż wszystkich wagonów cienka linka służąca do porozumiewania się maszynisty z hamulcowym na breku. Maszynista przez pociągnięcie za linkę dawał hamulcowemu sygnały, kiedy trzeba było pociąg zatrzymać i kiedy hamulec zwolnić. Ruszyliśmy w minorowym nastroju, później już zaczęły się rozmowy, obserwacja krajobrazów, ale śpiew nam nie wychodził – brak było ześpiewania, repertuaru. Gawędy, żarty, dowcipy towarzyszyły nam przez całą podróż. Stary parowóz pamiętający jeszcze czasy Aleksandra III prychnając, ciężko dysząc i skrzypiąc, ledwo dawał sobie radę

z wagonami. Pociąg przystawał na każdej stacji, niekiedy stał dłuższy czas, aby przepuścić pociągi osobowe lub transport wojskowy z żołnierzami udającymi się na front. Czasem nasz pociąg zatrzymywał się obok pociągu wojskowego. My obserwowaliśmy żołnierzy a oni nas.

Wymienialiśmy zdania często niecenzurowane. Żołnierze rosyjscy delegowali swojego siłacza, który wzywał przeciwnika z naszego pociągu do walki na zapasy. Wyniki przebiegu tych walk były różne. Kiedy nasz przedstawiciel przycisnął kolanem do ziemi powalonego przeciwnika, to bardzo nas cieszyło. Między nami była garstka rekrutów Żydów. Nie najlepiej czuli się oni we wspólnej niedoli. Po drodze zaczęli stopniowo dezertować. Jeden Żydek został w Świdniku, dwóch w Trawnikach, czego nasz komendant nie zauważył. W miarę oddalania się od Lublina liczba dezertów zaczęła się powiększać. W Chełmie już na stacji, miesząc się z pasażerami czekającymi na pociąg do Lublina, zostało pięciu. Nie wiem, czy sam plutonowy to zauważył, czy może ktoś mu podszeptał, dość że w Kowlu przewodnik przy pomocy 2 żołnierzy zebrał ze wszystkich wagonów Żydów i zakwaterował ich w wagonie za kratami zamykając jedne i drugie drzwi na kłódkę. Dezercja się skończyła. Biedni aresztanci mogli tylko wyglądać oknem a i to było niebezpieczne. Kiedy zza krat wychyliło się kilka głów, jeden z naszych żandarmów pociągnął za linkę zwisającą pod ich głowami, wtedy dwie czapki spadły koło toru na ziemię. Pierwszą noc ułożyliśmy się pokotem głowami do ściany, przespaliśmy na brudnej podłodze bez żadnego przykrycia w ubraniu. W środku stał piecyk żelazny, w którym całą noc tlił się węgiel z koksem ale ciepła z tego palenia było bardzo mało. Na ścianie paliła się i oświetlała wnętrze wagonu naftowa mała latarnia z mocno skopconym szkłem. Rano trzeba było pomyśleć o śniadaniu. W czasie podróży między Lublinem a Kowlem przewodnik nasz wypłacił każdemu na całą drogę po 45 kopiejek na życie. Z gorącą wodą na herbatę nie było kłopotu, gdyż na każdej stacji całą dobę był „kipiatok” (gorąca gotowana woda) w dużym kotle. Gorzej było z cukrem i chlebem do tej „herbaty”. Trochę mieliśmy własnego pożywienia, zakupionego w Lublinie, ale to nie wystarczało. Musieliśmy dokupywać na stacjach, tylko nie zawsze można było dostać. Przejechaliśmy: Kijów, Kursk, Woroneż, Tamcow i przez Wołgę, Saratow, a dalej Wrulsk. Po przebyciu 2100 km w prostej linii w 10 dni przez pola, lasy, łąki, rzeki i jeziora w nocy z 22 na 23 marca 1915 r. wysiedliśmy głodni, zmęczeni podróżą, czarni od dymu z węglowego żelaznego piecyka, nie myci przez 10 dni, na docelowej stacji miasta gubernialnego nad rzeką Ural – Orenburga.

Konwojent ustawił nas w dwuszeregu i ruszyliśmy z tobołkami, walizkami, kuferkami w drogę na nocleg do koszar Aleksandrowskich. Maszerowaliśmy środkiem ulicy zawałonej grubą warstwą niesprzątanego śniegu, zapadając się w głębokich dołach od kopyt końskich, po wczorajszej lekkiej odwilży. W koszarach tych nie przyjęto nas z powodu braku miejsca. Przewodnikowi podano adres innych koszar w zarekwirowanych domach. Tam powtórzyła się ta sama historia. Wróciliśmy ponownie do poprzednich koszar. Konwojent pokłócił się z sierżantem

i kategorycznie powiedział, że w poszukiwaniu lokum po nocy krokiem się nie ruszy. Poukładaliśmy swoje bagaże pod ścianą i usiedliśmy na nich. Sen nas zmorzył. Jedni drzemali na tobołkach, inni zaś poukładali się w przejściach i tak na podłodze zasnęli. Pierwsze dni służby – głodnych, zmęczonych, niewyspanych i brudnych rekrutów nasz konwojent ustawił parami przed koszarami, gdzie stacjonował przed wojną 191. pułk Łarokagulski, stąd wyruszyliśmy ulicami pod sztab 104. rezerwowego batalionu. Tu podzielono nas na 16 grup, bo batalion ten liczył 16 kompanii. Ja zostałem przydzielony do I plutonu I drużyny siódmej kompanii. Koszary mieściły się w zarekwirowanym domu, gdzie przed wojną było prawosławne seminarium duchowne. Koszary były wolne, gdyż przed kilkoma dniami żołnierze wyjechali na zachodni front. Po śniadaniu (herbata z kawałkiem czarnego żytniego razowca) przystąpiono w koszarach do wstępnych ćwiczeń i nauki rekrutów w naszych cywilnych ubraniach i obuwii. Plutonowy zapoznał nas, że na komendę krokiem marsz należy zaczynać od lewej nogi, machać rękami od pasa do tylnego oporu. Pierwsze kroki i postawa moich kolegów były godne politowania. Kazali maszerować po izbie pojedynczo, korygując kroki i postawę żołnierza. Przyszła kolej na mnie. Zgodnie z instrukcją przemaszerowałem przez izbę. Zaraz na wstępie uznali, że to ćwiczenie wykonałem bez zarzutu. Przecież w szkole na gimnastyce to wszystko przerabiałem z tą różnicą, że na polską komendę. Plutonowy, zacierając ręce, powiedział: „Zuch”, ale bynajmniej nie zwolnił mnie od dalszych ćwiczeń. Do moich współtowarzyszy powiedział, że właśnie tak trzeba maszerować i w takiej postawie. Po krótkim odpoczynku zaczął się wykład, który polegał na tym aby poznać nas ze swoimi zwierzchnikami. Należało dać odpowiedź, kto jest twoim drużynowym, plutonowym, szefem kampanii i jej dowódcą. Trwało to do obiadu. Z kuchni, która mieściła się na parterze z wejściem od podwórza, jeden z rekrutów otrzymał w miedzianym naczyniu porcję jakiejś zupy dla 6 rekrutów od kuchcika Makarowa. Z tego baku jedliśmy pożywienie drewnianymi, okrągłymi łyżkami na krótkim uchwycie. Na drugie danie była kasza okraszona słoniną, którą spożywaliśmy tymi samymi łyżkami. Po dwugodzinnym odpoczynku były te same ćwiczenia, aż do znudzenia do samego wieczora. Po kolacji, składającej się z czaju z kawałkiem suchego razowca, rozglądaliśmy się gdzie będziemy spali po tej podróży i takich „ciekawych” ćwiczeniach. Po komendzie na modlitwę stanęliśmy w szeregu. Sprawdzili listę obecnych, podzielili na grupy wyznaniowe. W jednym rogu sali zgrupowali się mahometanie, w drugim Żydzi, a pośrodku chrześcijanie – katolicy i prawosławni jedną grupą. W odmawianiu „Ojcze nasz” nie mogliśmy brać czynnego udziału, gdyż nie znaleźliśmy ani melodii, ani słów (było to w innym obrządku). Modlili się sami prawosławni, a my byliśmy tylko widzami i słuchaczami. Toż samo było przy śpiewaniu hymnu narodowego. Nasi zwierzchnicy pytali się nas, dlaczego nie śpiewaliśmy „Otcze nasz” i „Boże caru chroń”, na co im odpowiedziałem, że nie znamy słów i melodii, co niezmiernie zdziwiło ich, jak można żyć bez znajomości tak ważnych śpiewów. „Koniec dziennych zajęć, a teraz kładźcie się spać”. Ale

gdzie? Wzdłuż całej długiej sali z sosnowych nieheblowanych desek były 2 pomosty (parter i piętro). Ułożyliśmy się na tych gołych deskach marach na parterze pokotem, zwróceni do siebie głowami, a nogami do przejść po jednej i po drugiej stronie. Położyliśmy się spać w ubraniach, w których chodziliśmy za dnia, bez żadnego nakrycia i poduszki pod głowę.

Następnego dnia przybyła nowa, znacznie większa, grupa rekrutów, przeważnie Tatarów, Baszkirów i Kirgizów. Wyplacono nam po 50 kopiejek miesięcznego żołdu i po 2 ruble 88 kop. za bieliznę. Starszy mundurowy brał po 2 rekrutów do siebie do magazynu mundurowego i wydawał spodnie, mundury, pasy i czapki. Przy tym był obecny starszy undufler – starszy nauczyciel i plutonowy. Oni pomagali mundurowemu dobrać odpowiednie części

mundurowania. Plutonowy szczególnie interesował się dobieraniem munduru dla mnie. Znalazł dobry mundur czarny, nieco dłuższy, z tyłu rozcięty z granatowymi naramiennikami, białymi literami i cyframi 191. Dostałem biały pas i czarną czapkę okrągłą z białym otokiem, bez daszka i trójkolorowym znakiem biało-czerwono-niebieskim. Włożyłem to wszystko na siebie. Swoje ubranie, palto, buty zwinąłem w jeden pakunek, załączyłem kartkę z moim imieniem i nazwiskiem, i zostawiłem w magazynie na przechowanie. Teraz już jestem żołdatem rosyjskiej armii. Następnego dnia o 4 rano obudził mnie kuchcik Markow i razem z kilkoma innymi towarzyszami zaprowadził nas do kuchni obierać kartofle na obiad. O godz. 5 pobudka, mycie podłóg, umywalni, czyszczenie guzików, śniadanie i ćwiczenia.

*Wybrał i opracował Tadeusz Surdacki*

---



---

## Opowieści mieszkańców Urzędowa o wydarzeniach I wojny światowej

11 listopada 2014 r. w sali GOK w Urzędowie miała miejsce uroczysta akademii poświęcona obchodom 100. rocznicy wybuchu I wojny światowej i 100. rocznicy powstania Legionów J. Piłsudskiego. Jednym z punktów akademii był montaż słowno-muzyczny pt. „Ta co nie zginęła”, którego fragmenty – wspomnienia urzędowian o wydarzeniach „wielkiej wojny” publikujemy poniżej.

**Zygmunt Krasieński:** „Stefan Władysław Rodzonek urodził się w Urzędowie – na przedmieściu Zakościelnym. Kiedy w 1914 r. Józef Piłsudski organizował w Kielcach »Strzelców«, miał 17 lat. Młody urzędowianin udał się na piechotę do tego miasta, by zostać żołnierzem. Ponieważ nie był pełnoletni, nie chciano go przyjąć. Jednak wkrótce nadarzyła się ku temu okazja, gdy ktoś zrezygnował ze służby, a Stefan został wpisany na jego miejsce. Przeżył szczęśliwie wojnę, a gdy wojsko zaproponowało mu kurs kierowcy samochodowego – odmówił i wrócił do cywila. Stefan widział powołanie jedynie w strzelaniu. Nie rozstawał się z karabinem, który miał przed wojną, podczas wojny i po jej zakończeniu (w ukryciu)”.

**Eugeniusz Kuśmiderski:** „Mój ojciec Jan Kuśmiderski i jego koledzy po fachu – bracia Siekaczyńscy, opowiadali o ratowaniu kościoła podczas działań wojennych 1915 r.

Gdy płonęły wieże kościoła, urzędowscy strażacy biegali do świątyni, aby ugasić pożar. Postawili beczki z wodą i polewali nią ołtarz i ściany. Przedtem wynieśli droгоценne przedmioty kultu.

Po ugaszeniu ognia kobiety zamiotły posadzkę i uprzętnęły świątynię. Wieże barokowe spłonęły, ogień strawił schody prowadzące na chór. Wśród stojących przed kościołem był legionista, który wszedłszy po drabinię na chór, zagrał pieśń *Boże, coś Polskę*. Lud urzędowski klęcząc śpiewał, dziękując Bogu za ocalenie świątyni”.

**Maria Nawrocka:** „Anna Piotrowska, z domu Rodzonek, była moją babcią. Mieszkała w Urzędowie, na

przedmieściu Góry. W przyszłym roku minie setna rocznica jej śmierci. Wiadomości na temat okoliczności jej śmierci przekazała mi moja mama, Eleonora Krasieńska.

Był początek lipca 1915 r. Na linii Urzędów–Wilkołaz następowało natarcie armii austriackiej. Mieszkańcy Gór uciekli z dobytkiem do sąsiedniego Ratoszyna. Babcia jednak została. Wybuch pocisku wyrzucił ją na drzewo. Zginęła 8 lipca. W chwili śmierci miała 50 lat. Jej nazwisko widnieje na liście tych, którzy zginęli od kul. Moja mama miała wówczas 13 lat. Kiedy walki ustały, mieszkańcy Gór wracali z Ratoszyna. Mama jechała na koniu. Zwierzę co jakiś czas parskało i nie chciało iść do przodu, bo w dojrzewającym zbożu leżeli zabici. Wielu ich było.

Ktoś z mieszkańców Gór przekazał mamie, że wszyscy zabici cywile zostali potajemnie pochowani na cmentarzu w Urzędowie. Moja mama nie знаła miejsca pochówku swojej matki”.

**Sylwester Buda:** „Andrzej Buda, a bliżej mój dziadek, mieszkał przy ul. Wodnej. Miał czterech synów i cztery córki. Najstarszy syn został wcielony do armii rosyjskiej i wywieziony w głąb Rosji. Kiedy wybuchła wojna z Japonią, brał w niej czynny udział. Po jakimś czasie został zwolniony z wojska i z Mandzurii przyszedł pieszo do Urzędowa. Cierpiał głód i chłód. Jadł wszystko, co napotkał: żaby, robaki. Młodszy syn Jan, po ukończeniu Progimnazjum w Urzędowie, pracował w gminie jako sekretarz. Kiedy dowiedział się, że Piłsudski tworzy w Galicji Legiony, doszedł do porozumienia z niedalekim sąsiadem Tadeuszem Paszkowskim i obydwaj postanowili wyruszyć w drogę. Jana wyprawiła w drogę matka, Tadeusza – siostra Apolonia. Ten, odchodząc z domu, pozostawił list napisany wierszem:

*Żegnam Cię siostrzo Apolonio,  
Co mi wdzięczną byłaś.  
Żeś mi w dzień ostatni  
Jeszcze usłużyłaś.*

I tak młodzieńcy wyruszyli do Galicji. Granicę austriacką przekroczyli w Zaklikowie. Po dojściu do celu zostali przyjęci w szeregi Legionów, ale nie do jednej kompanii. Po przeszkoleniu kompania, w której służył Janek, została skierowana na front. Przez cały czas rodzina otrzymywała listy od żołnierza. Wkrótce jednak korespondencja została przerwana. Poszukiwania za pomocą Czerwonego Krzyża nie dały rezultatu. Towarzysz broni Janka z Kłodnicy był świadkiem jego śmierci. Przywiózł rodzinie Janka identyfikator oraz inne dokumenty. Wtedy nie było już wątpliwości, co do losu żołnierza. Tadeusz wrócił z wojny cały i zdrowy. Ożenił się i z rodziną wyjechał do USA”.

„W czasie działań zbrojnych w Urzędowie w 1915 r. dochodziło do pojedynków na bagnety. W sadzie przy ul. Wodnej, przy budynku mieszkalnym Franciszka Surdackiego, zaskoczony zniecka przez Rosjanina żołnierz austriacki poddał się, ale nie odrzucił broni. Został ugodzony w brzuch bagnetem, aż wyszły mu wnętrzności. Żołnierz żył jeszcze jakiś czas i wołał pić. Pił wodę, a ta wylewała mu się na zewnątrz. Czy później został zabrany z miejsca swojej śmierci – nie wiem”.

**Elżbieta Kuśmiderska:** „Na przedmieściu Zakoscielnym, na posesji Jerzego Tomaszewskiego, w pobliżu figury widoczna była kiedyś mogiła. Znajdował się tam grób podpalacza z armii rosyjskiej, zabitego przez legionistę. Tato opowiadał mi, że chłopcy pasący na wygonie krowy, często schodzili w dół i uderzali kijami w mogiłę podpalacza”.

„Zmarła kilka lat temu Sabina Mital z Wodnej mówiła mi, jak ocalał jej dom. Otóż matka jej teściowej uratowała swój dom, polewając go gnojówką z okólnika”.

„Mój dziadek Mikołaj Surdacki był w Galicji z podwodami. Żołnierze byli głodni, ale mieszkańcy Małopolski – źle ustosunkowani do ludzi z armii rosyjskiej – nie chcieli im sprzedać chleba. Dziadek ze złością mówił o nich – pilarze.

Wieczorami żołnierze palili ognisko i tępili wszy. Kiedy dziadek wrócił z frontu, babcia napaliła w piecu i po usunięciu węgla włożyła ubranie męża do pieca, w celu zabicia insektów”.

**Cecylia Lewandowska (już nie żyjąca):** „Był rok 1914, wokół świstały kule. Wówczas przyszłam na świat w warunkach nieszczególnych – w dole po kartoflach”.

O tragicznych losach urzędowian świadczy również wspomnienie o **Wojciechu Sable** – pradziadku Tadeusza Sabła. Został on wcielony do wojska carskiego. Brał udział w bitwach toczących się na naszym terenie i w okolicy. W bitwie pod Bełzycami trafił do niewoli austro-węgierskiej. Kolumna jeńców prowadzona na dworzec kolejowy zatrzymała się na tzw. kamionce, w okolicy młyna Tylusa. Po drugiej stronie drogi było jego rodzinne gospodarstwo, gdzie bawiło się dwoje jego dzieci, które widział, ale nie mógł się do nich zbliżyć. Słuch po nim zaginął. W ostatnich latach natrafiono na ślad jego pobytu na Węgrzech – tam jest pochowany. Rodzina próbuje odszukać jego mogiłę, a tym samym poznać losy swego przodka.

**Fragmety książki *Moniaki* autorstwa Zofii Zinserling (córci Hanny z Zembruskich, a wnuczki Zofii Zembruskiej)**

W pierwszych latach światowego konfliktu linia frontu przebiegała bardzo blisko Moniak – Hanna z Zembruskich do końca życia wspominała straszne widoki trupów żołnierzy austriackich, zwożonych furami do grobów, przeraźliwe krzyki ludzi, uciekających przed działaniami wojennymi; ryk przerażonego bydła.

Opis tego, co działo się w Moniakach i okolicy podczas wojny pozostawiła dla potomności współwłaścicielka dworu w Moniakach – Zofia z Kochanowskich Zembruska.

„Wskutek wojny wszechświatowej [...] dominium Moniaki ucierpiały wiele od wojsk tak rosyjskich, jak austro-węgierskich. Te ostatnie, pod wodzą gen. Rozwadowskiego, zniszczyły całe lany zbóż, zabrały lwia część inwentarzy oraz sprzętów gospodarskich i domowych. Po pamiętnych walkach pod Kraśnikiem, Chodlem, Opolem, Borzechowem i trzytygodniowym pobycie Austriaków w tych stronach, wojska rosyjskie odparły je – rabując i niszcząc, co tylko się dało. Zostaliśmy bez inwentarzy żywych i martwych, z małym zapasem zboża i zasiewami dokonanymi bardzo pośpiesznie i niedokładnie. [...]

W obecnej chwili dwa lata blisko gubernia lubelska znajduje się pod okupacją austriacką. Znosimy teraz ciężkie warunki moralne i materialne. Rekwizycje wszelkich zbóż, inwentarzy, zakazy swobodnego dowozu produktów do miast, z powiatu do powiatu, ogładza ludność, wywołując nienormalnie wysokie ceny na wszystko. Moc trudności paszportowych, komunikacyjnych, uniemożliwia stosunki handlowe i rodzinne.

Urzednicy austriaccy, często Żydzi, wydają rozporządzenia rozbieżne, często zmieniane – nieufność do waluty austriackiej bez stałego kursu (w tym czasie korony spadły do 23 kopiejek) demoralizująco wpływają na ludność. Bieda po miastach i miasteczkach straszna, wywołuje bez epidemii śmiertelność. Włościanie i robotnicy nienawidzą Austriaków, wyglądają powrotu Rosjan, przekonani, że z ich przyjściem wrócą dobre czasy, spokój i dobrobyt. Niepomni tego, że ciż Rosjanie, ustępując z ziemi naszej, palili wsie i dwory, wypędzali i zabierali ze sobą ludność na głód i poniewierkę – nie mówiąc już o wszystkich krzywdach, których doznaliśmy od nich przez czas przeszło stuletnich ich rządów.

Zbiegli jeńcy wojenni i miejscowi złodzieje grasują po okolicy, siejąc postrach i zły przykład.

Zima w tym roku była niezwykle ostra, śnieżna i długa. Koniec maja dopiero skrył liśćmi drzewa. Noce są zimne, pogodne, susza kilkutygodniowa fatalnie wpływa na zasiewy, które bardzo źle się przedstawiają, grożąc głodem.

W naszej okolicy pola są obsiane, lecz brak sprzężaju, nawozu sprowadza zanik kultury w gospodarstwach naszych, cofając te gospodarstwa o kilkadziesiąt lat wstecz.

Wspomnienie to, tak pobieżne, zostawiam do rzucenia światła na chwile obecne. Może kiedy kartka ta przypadkowo wpadnie w ręce tych, dla których czasy te tylko z historii i opowiadań znanymi będą – te słów kilka będą jakby echem z oddali od tych, którzy w tych strasznych czasach żyli, cierpieli, a jednak na duchu nie upadali. Utrzymywała ich w równowadze nadzieja doczekania lepszej doli dla kraju – to, cośmy podczas tej strasznej wojny niewinnie ucierpieli, musi zaważyć kiedyś na szali sprawiedliwości! Da Bóg, że ci, którym ta kartka kiedyś

do rąk wpadnie, żyć już będą w wolnej Ojczyźnie – swobodni, nie skrepowani żadnymi więzami, pracować będą dla dobra swego kraju, silni zdobytym doświadczeniem. Nie damy się wtedy wrogowi! Trwać będziemy przy Bogu, Ojczyźnie i Mowie, tak nam dopomóż Bóg!!!”

Moniaki, 10 maja 1917 roku

\*

**Wykaz legionistów, którzy polegli w Urzędowie (najmłodszy z nich miał 15 lat, a najstarszy 23):**

1. Górski Antoni (Łuba)
2. Grochowski Franciszek
3. Gruszczyński Antoni
4. Jawornik Aleksander
5. Jakubowicz Dawid
6. Karcz Andrzej
7. Kasprzyk Józef
8. Łuszcz Stanisław
9. Mioduszewski Edward
10. Nawrocki Mieczysław
11. Rybarski Leonard
12. Ryż Bronisław
13. Świątek Jan
14. Szczęch Jan (Sokół)
15. Sułkowski Walery

**Według materiałów zebranych przez Roberta Bijasiewicza (komendanta POW) do Legionów zaciągnęli się następujący mieszkańcy ziemi urzędowskiej:**

1. Bekier Ignacy
2. Bekier Kazimierz
3. Bieńkowski Stefan
4. Borowicz Aleksander
5. Dąbrowski Ludwik (zginął w 1916 r.)
6. Dzikowski Franciszek (zginął w 1918 r. w czasie rozbijania Austriaków)
7. Gajewski Apoloniusz
8. Gozdał Julian
9. Gozdalski Michał
10. Gruchalski Aleksander
11. Gruchalski Jan
12. Jacniacki Aleksander
13. Jacniacki Roman
14. Jagiełło Roman
15. Kochański Stefan
16. Kowalewski Feliks
17. Michota Antoni
18. Motyka Franciszek
19. Pajdowski Mikołaj
20. Pajdowski Wiktor
21. Pajdowski Tymoteusz
22. Paszkowski Tadeusz
23. Pozyckiński Konstanty
24. Puacz Jan
25. Pyz Julian
26. Węgliński Tadeusz
27. Wojtuszkiewicz Zygmunt
28. Ziemiak Stanisław

**Mieszkańcy parafii Urzędów polegli w czasie I wojny światowej:**

- |                          |                  |
|--------------------------|------------------|
| 1. Witek Kornel          | z Bęczyna        |
| 2. Gajewski Konstanty    | –                |
| 3. Gozdalski Michał      | –                |
| 4. Turkowski Ignacy      | –                |
| 5. Brożek Stanisław      | –                |
| 6. Gajewski Maciej       | –                |
| 7. Jacniacki Jan         | –                |
| 8. Rachoń Bolesław       | –                |
| 9. Gajewski Stefan       | –                |
| 10. Gajewski Antoni      | –                |
| 11. Brożek Mikołaj       | –                |
| 12. Wyrostek Antoni      | –                |
| 13. Gozdalski Karol      | –                |
| 14. Kisiel Bronisław     | z Urzędowa       |
| 15. Dobrowolski Ludwik   | –                |
| 16. Jurak Józef          | –                |
| 17. Motyka Stanisław     | –                |
| 18. Biguszewski Walenty  | z Zakościelnego  |
| 19. Żyźniewski Stanisław | –                |
| 20. Dzikowski Franciszek | –                |
| 21. Żyźniewski Ignacy    | –                |
| 22. Gajewski Augustyn    | z Mikuszewskiego |
| 23. Łukasiewicz Bolesław | –                |
| 24. Jacniacki Józef      | –                |
| 25. Buda Jan             | z Wodnej         |
| 26. Surdacki Władysław   | –                |
| 27. Sabel Wojciech       | z Rankowskiego   |
| 28. Misztal Władysław    | z Ludwinowa      |
| 29. Gawrył Andrzej       | –                |
| 30. Wnuk Piotr           | –                |
| 31. Bury Stanisław       | –                |
| 32. Kret Józef           | z Majdanu        |
| 33. Stelmach Andrzej     | –                |
| 34. Resztak Józef        | z Zakącia        |

**Zginęli od kul podczas działań wojennych:**

- |                            |                  |
|----------------------------|------------------|
| 35. Grzebuła Piotr         | z Bęczyna        |
| 36. Bogusławski Benedykt   | –                |
| 37. Dzikowski Maciej       | z Zakościelnego  |
| 38. Gałkowski Jan          | z Mikuszewskiego |
| 39. Gozdalski Apolinary    | z Rankowskiego   |
| 40. Łata Piotr             | z Mikuszewskiego |
| 41. Chróścielewska Barbara | –                |
| 42. Piotrowska Anna        | z Gór            |

**Zaginęli:**

- |                          |                  |
|--------------------------|------------------|
| 43. Lizinkiewicz Karol   | z Bęczyna        |
| 44. Rola Władysław       | –                |
| 45. Rola Ignacy          | –                |
| 46. Wośko Jan            | –                |
| 47. Chudzicki Franciszek | z Mikuszewskiego |
| 48. Gozdalski Wincenty   | –                |
| 49. Łukasiewicz Hipolit  | –                |
| 50. Jacniacki Henryk     | z Zakościelnego  |
| 51. Dzikowski Wojciech   | –                |
| 52. Motyka Franciszek    | z Urzędowa       |
| 53. Bury Walenty         | z Ludwinowa      |
| 54. Gorajek Jan          | –                |
| 55. Pietras Józef        | z Łopiennika     |



## Polegli

### w wojnie światowej i o niepodległość Polski 1914—1921

#### Z PARAFJI URZĘDÓW.

I.			
1.	Witek Kornel, syn Marcina	z Bęczyna	w. ros. † 1913 pod Opatowem
2.	Gajewski Konstanty, s. Ambrożego	-	† 1915 pod Krakowem
3.	Gozdalski Michał, syn Jakóba	-	legionista † 1915 pod Lublinem
4.	Turkowski Ignacy, syn Pawła	-	w. ros. † 1917 w Skalmierzycach, w niewoli
5.	Brożek Stanisław, syn Kacpra	-	† 1917 w niewoli niemieckiej
6.	Gajewski Maciej, syn Jana	-	w. Hallera † 1918 we Frateji (Votoun)
7.	Jacniacki Jan, syn Piotra	-	w. ros. † 1918 w niewoli niem. (Gutenzell)
8.	Rachon Bolesław, syn Ambrożego	-	pob. w. pol. † 1920 w Warszawie, w szpitalu
9.	Gajewski Stefan, syn Jana	-	† 1920 pod Radzyminem
10.	Gajewski Antoni, syn Dominika	-	w. ros. † 1920 w niew., ros., w Jokaterynburgu
11.	Brożek Mikołaj, syn Władysława	-	pob. w. pol. † 1920 w Białymstoku
12.	Wyrostek Antoni, syn Augustyna	-	w. Hallera † 1920 w Anycyze
13.	Gozdalski Karol, syn Ignacego	-	ochotnik † 1921 w Starowiejślanach
14.	Kisiel Bronisław	z Urzędowa	w. ros. † 1915 w rosyjskim szpitalu
15.	Dobrowoński Ludwik, syn Józefa	-	legionista † 1916 na Wolyńi
16.	Jurak Józef	-	ochotnik † 1919 w Lublinie, w szpitalu
17.	Motyka Stanisław	-	pob. w. pol. † 1920 pod Warszawą
18.	Biguszewski Walenty	z Zakosielnego	w. ros. † 1916 w niewoli austriackiej
19.	Zyżniewski Stanisław, syn Józefa	-	† 1917 w niewoli niemieckiej
20.	Dzikowski Franciszek, s. Szczepana	-	legionista † 1918 w Niedrzwicy
21.	Zyżniewski Ignacy, syn Józefa	-	ochotnik † 1920 w Radomiu
22.	Gajewski Augustyn, syn Nikodema	z Mikuszewskiego	w. ros. † 1914 w Brześciu Lit., w szpitalu
23.	Lukasiewicz Bolesław, s. Andrzeja	-	† 1916 nad Bugiem
24.	Jacniacki Józef, syn Franciszka	-	† 1917 w niewoli niemieckiej
25.	Buda Jan, syn Andrzeja	z Wołnej	w. ros. † 1915 w Karpatach
26.	Surdacki Władysław, syn Jana	-	ochotnik † 1920 pod Borenowem
27.	Sabel Wojciech, syn Józefa	z Rankowskiego	w. ros. † 1915 w niewoli austriackiej
28.	Misztal Władysław	z Ludwinowa	w. ros. † 1919 w Piotrkowie
29.	Gawrył Andrzej	-	pob. w. pol. † 1920 nad Styrcem
30.	Wnuk Piotr	-	† 1920 w niewoli bałtyckiej
31.	Bury Stanisław, syn Jana	-	† 1921 w Poznaniu
32.	Kret Józef	z Majdana	† 1920 w Krasnymstawie, w szpitalu
33.	Stelmach Andrzej	-	† 1920 w domu
34.	Resztak Józef	z Zakęcia	w. ros. † 1914 w Janowie lubelskim.
II. Zginęli od kul podczas działań wojennych:			
35.	Grzebula Piotr	z Bęczyna	† 1915 stracony przez madzjarów
36.	Bogusławski Benedykt	-	† 1915 na polu przy pracy
37.	Dzikowski Maciej	z Zakosielnego	† 1914 na polach urzędowskich
38.	Galkowski Jan	z Mikuszewskiego	† 1915 kolo domu
39.	Gozdalski Apolinary	z Rankowskiego	† 1915 na Rankowskim
40.	Lata Piotr, syn Andrzeja	z Mikuszewskiego	† 1915 w domu
41.	Chroszczewska Barbara	-	† 1915 w domu
42.	Piotrowska Anna	z Gór	† 1915 kolo domu
III. Zaginęli:			
43.	Lizinkiewicz Karol, syn Jana	z Bęczyna	w. ros. 1915 pod Warszawą
44.	Rola Władysław, syn Marcina	-	1915 w niewoli niemieckiej
45.	Rola Ignacy, syn Marcina	-	"
46.	Wośko Jan, syn Stanisława	-	1915 zabrany przez austriaków
47.	Chulzicki Franciszek, s. Szymona	z Mikuszewskiego	cywilny 1914 na podwodach
48.	Gozdalski Wincenty, s. Szymona	-	"
49.	Lukasiewicz Hipolit, syn Andrzeja	-	w. pol. 1920 w wojsku polskiem
50.	Jacniacki Henryk, syn Marcina	z Zakosielnego	w. ros. † 1915 w Karpatach
51.	Dzikowski Wojciech, syn Macieja	-	1917 w niewoli niemieckiej
52.	Motyka Franciszek	z Urzędowa	cywilny 1914 na podwodach
53.	Bury Walenty, syn Jana	z Ludwinowa	w. ros. 1914 w ros. wojsku
54.	Gorajek Jan, syn Jakóba	-	1918 w niewoli austriackiej
55.	Pietras Józef	z Lopiennika	1918 w ros. wojsku

Tablica ze spisem Poległych w czasie I wojny światowej o niepodległość Polski w latach 1914–1921, pochodzących z parafii urzędowskiej (znajduje się na wewnętrznej ścianie prawej nawy kościoła pw. św. Mikołaja w Urzędowie). Listę sporządził ks. Witold Jezierski. Z lewej strony tablicy malarz Barwicki z Lublina przedstawił postać kobiecą – Polskę, składającą wieniec na grobie poległych (zapis wg relacji Leona Warchałowskiego).

Andrzej Rolla „Miodek”

## 100-lecie bitwy pod Urzędowem. Wspomnienia legionistów

Wielka wojna, nazwana później I wojną światową, trwała już rok, gdy legionści wraz z Komendantem Piłsudskim znaleźli się w Urzędowie. Do czasów dzisiejszych widoczne są ślady tamtych dni. Mogiły na cmentarzach, mogiły w lasach, pomnik Legionistów w Urzędowie oraz rozciągające się kilometrami okopy w lasach. Okopy były wszędzie, jednak na terenach zamieszkałych oraz rolniczych zostały zarównane i ślad po nich zagał. Czasem ziemia oddaje to, co skrywała przez sto lat. Sam w tym roku wyorałem na polu zardzewiały bagnet, który kiedyś zgubił żołnierz. Bywają także inne fanty, np.: łuski, szable, skorupy od pocisków, klamry od pasów, guziki od mundurów.

Kilka słów historii. Z jednej strony Austro-Węgry i Niemcy, z drugiej Rosja, Francja i Wielka Brytania rozpętały piekło wojny, która miała trwać ponad cztery lata. A wszystko przez zdarzenie, które miało miejsce w Sarajewie. 28 czerwca 1914 r. serbski zamachowiec Gavrilo Princip zastrzelił arcyksięcia Franciszka Ferdynanda wraz z żoną. Po miesiącu not dyplomatycznych i ultimatów, które nic nie przyniosły, wybuchła wojna. Zmieniła ona porządek w Europie, który trwał prawie niezmiennie od wojen napoleońskich. Spodziewane szybkie zwycięstwo zamieniło się w krwawą wojnę światową, do której przystępowały z biegiem czasu coraz to nowe państwa. Dla Polaków była to szansa na wybitcie się na niepodległość, choć krwawo okupiona. Polacy bowiem musieli walczyć w armiach trzech zaborców, niejednokrotnie strzelając do siebie nawzajem. Żaden z trzech zaborców nie chciał pozwolić na powstanie niepodległego państwa polskiego, a jednocześnie chciano wykorzystać potencjał Polaków w działaniach militarnych po swojej stronie. Dlatego rządy Niemiec, Austro-Węgier i Rosji obiecywały powstanie państwa polskiego pod swoim protektoratem. Były to zabiegi propagandowe, mające na celu wyrwanie jak największych korzyści z narodu polskiego w obliczu wojny. W Polsce na początku XX wieku odżyła myśl o stworzeniu własnego wojska do przyszłej walki z Rosją. Przed I wojną światową rozwinął się ruch paramilitarny (głównie w Galicji). Przywódcą jego był Józef Piłsudski (PPS), który kierował zalegalizowanym w 1910 r. Związkiem Strzeleckim. Środowiska nie związane z ruchem socjalistycznym utworzyły w 1911 r. Polskie Drużyny Strzeleckie. Przed wybuchem wojny obie te formacje uznały zwierzchność J. Piłsudskiego. Z kolei środowiska powiązane z Narodową Demokracją i konserwatystami ze wschodniej Galicji utworzyły Drużyny Bartoszewskie i Polowe Drużyny Sokole. Oddziały tych formacji przeprowadzały wspólne ćwiczenia, które pozwalały na przygotowanie militarne przyszłych żołnierzy.

Po wybuchu wojny w sierpniu 1914 r. Piłsudski wraz z I Kompanią Kadrową wkroczył do zaboru rosyjskiego. Wbrew oczekiwaniom Piłsudskiego pojawienie się wojska

polskiego w zaborze rosyjskim nie spowodowało większego poruszenia, a wkrótce legionści musieli uchodzić z Kielc przed Rosjanami. W listopadzie i grudniu I Brygada Legionów walczyła na Podhalu, a wiosną 1915 r. zajęła odcinek frontu nad Nidą. Na początku lipca I Brygada przekroczyła Wisłę i powoli zbliżała się do Urzędowa. Przez Wymysłów, Rachów, Popów, Dzierzkowice i Wyzniankę legionści dotarli do Urzędowa. Oto jak wspomina tamte dni legionista Roman Starzyński (brat prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego): „Dopiero 14 lipca wieczorem otrzymujemy rozkaz wymarszu. Idziemy marszem bojowym w kierunku Urzędowa. Noc ciemna choć oko wykol. Posuwamy się poprzez las w zwartej kolumnie. [...] Nagle las się urywa i my znajdujemy się na stoku wzgórza w dolinie Urzędówki. I od razu dostajemy się w pojedynczy ogień karabinowy, więc w kolumnie czwórkowej padamy. [...] 15 lipca wieczorem podsuwamy się do Urzędowa. Tym razem bez żadnej przygody dostajemy się do miasteczka i zajmujemy kwatery tuż za linią okopów, ciągnących się wzdłuż drogi nad rzeczką. [...] Ludność pała nienawiścią do Moskali za podpalenie miasteczka i wraz z nami bierze czynny udział w walce. Podobno nawet cofających się Moskali baby oblewały ukropem. Zwłaszcza mieszkańcy przedmieścia Mikuszowieckiego [sic!] i Rankowskiego są szczególnie zażarci, proszą o karabiny, by móc strzelać do Moskali. Służą nam za przewodników, schwytali szpiega, którego kpt. Satyr kazał powiesić na Rynku. Na rano zapowiedziano przygotowanie się do ataku. Trzeba się wyspać. Ledwie jednak zasnąłem – zbudzono mnie. Przyszedł rozkaz, aby kompania nasza wysłała silny patrol celem zbadania przeprawy przez rzekę Urzędówkę. [...] Wziąłem ½ plutonu i przez Rynek udałem się na placówkę VI baonu strzegącego mostu. [...] Minąłem wedety placówki VI baonu, wysłałem w szpicie 2 żołnierzy i powoli posuwam się naprzód. Słyszę jakieś podejrzane szmery. Zatrzymuję się i orientuję, że to krzyk ptactwa domowego, widocznie łapanego przez patrol nieprzyjacielski na przedmieściu. Może będzie okazja do wzięcia jeńca. Posuwam się rowem przydrożnym i uszedłem już jakieś 300 kroków od placówki, gdy nagle padły strzały rosyjskie, wyraźnie wymierzone w naszą stronę. Czyżbyśmy trafili na zasadzkę? Padamy. Przywarliśmy do ziemi, czekając uspokojenia. Nagle pada salwa, tym razem od tyłu z placówki VI baonu. Jedna, druga, trzecia. Kule padają obok nas. Widzę, że to nie przelewki i dają rozkaz odwrotu pojedynczo do placówki. Nigdy jeszcze nie byłem w takiej sytuacji. Przywykłem zarówno do huków wystrzałów, jak do trupów i rannych. Ale ginąć od własnej kuli bynajmniej nie miałem ochoty, a już jako dowódca nie mogłem dopuścić, aby od własnej kuli zginął któryś z moich żołnierzy”<sup>1</sup>.

Jak widać żołnierz często był narażony na ostrzał, zwłaszcza gdy był na pierwszej linii frontu. Na szczęście

nie każda kula trafiała. Inaczej zabrakłoby żołnierzy, gdyż każdy piechur miał kilkadziesiąt naboju w zapasie. Ostrzał w wąwozie na Mikuszewskim. „Posuwamy się powoli wąwozem pod dość gęstym ogniem karabinowym. Jest już zupełnie widno, a jednak niepodobna się zorientować, skąd strzelają. Kule padają zarówno z przodu, jak i z obu flank. Wynika z tego, że gdzieś w wąwozie jest zasadzka, a ponadto widzą nas ze wzgórza i strzelają do nas w dół wąwozu. Mnie się wydaje, że strzelają z lewego skrzydła, trzymam się więc lewej ściany wąwozu. [...] Wreszcie otrzymujemy rozkaz zatrzymania się i okopania. Kopać jest dość trudno, bo piaszczyste ściany wąwozu osypują się. Wreszcie wygrzebaliśmy jamy, w których od biedy można się skryć przed kulami”<sup>72</sup>.

16 lipca legioniści przesiedzieli w tym wąwozie w nie najlepszych warunkach. „Tymczasem ponury wstał poranek 16 lipca, a gęste chmury nie rokowały nic dobrego. Toteż wkrótce lunął deszcz i aby się przed nim schronić, wkopujemy się głębiej we wzgórze. Usiłuję sporządzić sobie coś w rodzaju daszka nad głową. Ledwie jednak, jak zdawało mi się, ukończyłem robotę, mój »daszek« spowodował katastrofę. Kawał ściany obsunął się i zasypał całkowicie moją jamę wraz ze mną. [...] Na szczęście sąsiadujący ze mną żołnierze zauważyli katastrofę i natychmiast rzucili się na ratunek. [...] Przesiedzieliśmy w ten sposób cały dzień w tym nieszczęsnym wąwozie. Wśród potoków deszczu z nieba i gradu kul nieprzyjacielskich trwaliśmy tak w nieświadomości, co się dzieje na »otwartym« teatrze wojennym. Od czasu do czasu dochodziły nas tylko wieści o śmierci ppor. Leonarda Rybarskiego z V baonu, to znów o zgonie kpr. Sokoła z 4. Kompanii”<sup>73</sup>.

Śmierć często była nieodzowną towarzyszką życia żołnierskiego. 17 lipca zginął w wąwozie na Mikuszewskim bardzo lubiany sierżant Łuba. „Nagle wpada do okopów zdyszany, na pół przytomny st. żołn. Lisowski. Nic jednak od niego dowiedzieć się nie można. Bezludnie tylko powtarza: »Łuba zginął! Łuba zginął!«. Pytamy go: »Gdzie, co, jak, zabity czy wzięty do niewoli?«. Nic jednak od niego dowiedzieć się nie można, jakby w szale jakimś powtarza w kółko: »Łuba zginął, sierżant Łuba zginął!«”<sup>74</sup>. Znalaziono go dwa dni później. „Leżał ukryty w krzakach z przestrzeloną głową. Przyniesiono go do Urzędowa. Tutaj też kompania wykopała mu grób pod krzyżem na ulicy i oddała mu ostatnie honory”<sup>75</sup>.

Sierżant Łuba cieszył się w kompanii wielkim szacunkiem i dlatego autor zamieścił krótką charakterystykę jego postaci. Obrazuje to również ludzi, którzy szli wtedy walczyć za wolną Polskę. „Łuba był to jeden z tych cichych bohaterów walki o niepodległość, o których nie piszą kroniki historyczne, a jednak im właśnie zawdzięczamy naszą wolność. Łuba nigdy nie mówił o sobie. Nikt nie znał bliżej jego stosunków rodzinnych. Wiedzieliśmy, że pochodził gdzieś z Łomżyńskiego. Prawdziwe jego nazwisko brzmiało: Antoni Górski. Gimnazjum kończył w Warszawie, potem studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Podobno był zdolnym artystą malarzem. Należał do »Promienia«, należał do »Strzelca«. Mógł wyjść na wojnę jako oficer, a wyszedł jako szeregowiec. Był już sierżantem, ale nie chciał opuścić swojej sekcji. Wszystkie najcięższe zadania, wszelkie najtrudniejsze patrole za-

wsze brał na siebie. Nigdy się na nic nie skarżył, zawsze był pogodny i zrównoważony. W plutonie miał wielki mir, wszyscy liczyli się z jego zdaniem. Znała go cała kompania, a ktokolwiek go znał, nie mógł go nie lubić. Toteż pamięć o nim długo jeszcze trwała w kompanii, która ani przedtem, ani potem nikogo nie żałowała tak, jak Łuby”<sup>76</sup>.

Tyle wspomnień S. Starzyńskiego z walk w Urzędowie. 20 lipca byli już w Majdanie [Radlińskim]: „Tutaj zatrzymaliśmy się na nocleg jako rezerwa Brygady, a więc nieprędko pójdziemy w ogień. Pozwolili nam otrząsnąć się ze strat poniesionych w Urzędowie”<sup>77</sup>. Później kierunek na Bełżyce przez Borzechów.

Inny legionista, Waław Lipiński-Socha (zamordowany przez UB w 1949 r.), w swoim dzienniku żołnierskim wspomina: „15 lipca. Las pod Urzędowem. Dzień już się robił jasny, gdyśmy stanęli po ciężkim marszu w wysokim lesie. Po kawie wypitej raz-dwa walimy się na miękkim mech, okręcamy celtami i zasypiamy kamiennym snem. [...] Wieczorem wysłano do Urzędowa kwatermistrzów, więc widocznie będziemy spać pod dachem – i wkrótce wymarsz. Na prawo znów krwawi niebo olbrzymia luna. To palą się Popkowice. Marsz był krótki i wesoły. Pod koniec zabroniono palić i rozmawiać. Natychmiast cisza głęboka objęła kolumnę. [...] Zajęliśmy w Urzędowie ogromną pyszną stodołę”<sup>78</sup>.

Żołnierska służba nie pozwalała na zbyt długi odpoczynek w warunkach frontowych. Jeszcze tej samej nocy pobudka. „O pierwszej w nocy słyszę przez sen szybki, ściszy głos dyżurnego, by Czachowski zaraz zebrał pluton. Zbieramy się ociężali, gdyż stodoła była rozkoszna nad miarę. Od dwu tygodni pierwszy raz nocowaliśmy pod dachem. Zbiórka. Oczulek wyznacza mnie na patrol z całą sekcją, lecz jeszcze nie wiemy dokąd. [...] Ruszamy. Zadanie nasze polega na ubezpieczeniu batalionu przy przeprawie. [...] Marsz wnet śpieszny, koci, przyciszony. Za mostkiem rozwijamy się w lewo wśród popalonych chałup i w głuchej ciszy nocnej okopujemy się na drodze, przed niewielkim, łagodnym wzgórzkiem falującego zboża. Moskale są tuż-tuż, biją ciągle, lecz okopy ich giną w zbożu. O czwartej, gdy już szarzał świt 16 lipca – wróciliśmy do niespalonej części Urzędowa”<sup>79</sup>.

Żołnierz na froncie nie mógł się czuć bezpiecznie, nawet poza linią frontu. „Siedzimy wzdłuż drogi za chałupami, pod starymi, rosochatymi wierzbami, gdy naraz z ogłuszającym trzaskiem pękł za nami szrapnel jeden i drugi... Gdzieś tam któryś jęknął, gdzieś zerwał się bolesny krzyk... Tunguz rozpedził natychmiast kompanię pod chałupy, powpychał w ogrody. Jeszcześmy nie zdążyli tam skoczyć, gdy nowe dwa pękają i grad kul wściekłym młotem uderza w liście drzew... Jak gdyby piorun wyrznął... Tunguz chwycił się za pierś, Długosz zbladł, trzaśnięty w ramię, Lodek Janowski gorączkowo obmacuje kolano... Na szczęście wszyscy trzej dostali zewnętrznym promieniem rozrzutu, więc ich tylko posiniaczyło. Rannych ciężiej natomiast dwu, a z 1. kompanii zabity sekcjny Sokół...”<sup>80</sup>.

W takich niebezpiecznych momentach nie brakło też rozrywki, gdyż chwilę później legioniści dokazywali, zwłaszcza gdy w pobliżu pojawiały się dziewczęta. „Lokujemy się szybko w ogródku, pod samymi ścianami



domków zamożnych mieszczuchów, którzy nas z rozculeniem częstują mlekiem, głównie na intencję wypędzenia Moskali. Antek zobaczywszy nieco ładnych dziewcząt, rozdokazywał się jak małpa, Chabowski z Władkiem Łeckim nastawiają wyciągnięty z chałupy gramofon na jakąś skoczną nutę, tak że nowej serii szrapneli ukryta już za chałupami wiara dośpiewuje cynicznie: »Do lampy, gadaj do lampy...«<sup>11</sup>.

Śmierć przychodziła każdego dnia, przeważnie niespodziewanie. „W wąwozie ogień piekielny. Ekrazytówki napelniają powietrze jęklwym, ogłuszającym trzaskiem, jazgot kul nie ustaje na chwilę. Dostaję rozkaz zajęcia z sekcją okopów na szczycie ściany wąwozu i ledwie je zajęliśmy i zapadli w piach, gdy nagle, niespodziewanie rozległ się bolesny, rozpaczliwy krzyk Antka Gruszczyńskiego: »Sanitariusz, sanita...«. Nie skończył... Skoczyłem do niego, a Antek zwiesił głowę na krzak głogu i twarz mu zszarzała na popiół. Porwali go sanitariusze z doktorem Kwaśniewskim i zanieśli w dół. Dostał w bok i za chwilę skonał. Patrzyłem osłupiały, oniemiały, po prostu nie pojmując, co się stało»<sup>12</sup>.

Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi – mówi stare przysłowie. Jedni żołnierze z patroli wracali cało, innym dana była śmierć żołnierska w akcji. „Rozlokowaliśmy się. Na lewym skrzydle dość gęsta strzelanina, lecz u nas cisza. Ociężałe mgły podnoszą się z pól, spowita nimi sinieje blade dolina Urzędówki. Tymczasem pierwsza kompania i nasza wysłały patrole w przód do drutów moskiewskich. Patrole doszły i wróciły nie ostrzelane. Natychmiast gwar i ruch uczynił się w okopach. Ogólnie sądzono, że Moskale zwiali, Tunguz więc posyła Edka z Banaszczykiem, lecz widocznie za jasno się zrobiło. Mgła opadła i w tej chwili poczęły świszczec i trzepać kule, a ekrazytówki z ogłuszającym trzaskiem pękać za patrolami. Za chwilę dowiadujemy się, że w 1. kompanii został ciężko ranny sierżant Górski. Ano, Moskale nie zwiali...»<sup>13</sup>.

Gdy panował względny spokój, żołnierze mieli chwile wolne, które wykorzystywali na odpoczynek. „Kapaliśmy się w rozprazonym słońcu do południa, aż nam plecy na raka poczerwieniały. Lecz już w południe się ochłodziło i począł mżyć deszcz»<sup>14</sup>.

Kilka słów literackiego opisu urzędowskiego poranka, ostatniego jaki legionieści mieli spędzić w Urzędowie. Po południu 19 lipca mieli już wyruszyć do Ludwinowa. „Szary świt. W siwej mgle leży dolina Urzędówki. Ckliwe opary zmieszane z monotonnym, nieprzerwanie szmerzącym deszczem włóczą się po polach. Ciężkie kłosa pochyliły się pod srebrnymi kroplami, przepiórka jęklwie nawołuje w zbożu, gdzieś we wsi zapiał kogut, gdzieś na skrzydle ostro trajkocze karabin maszynowy... Co chwilę przesywa powietrze świst kuli, to smętny, mdlejący jęk, gdy wyzybta siły klapnie w rozmięktą ziemię, to ostry, wściekły świst i trzask pękającej ekrazytówki, to ordynarne buczenie berdanki. Interesująca muzyka. [...] Do południa jako tako przespaliśmy nasze okropne zaległości, a sen uleciał do reszty, gdy nam łącznik przeczytał rozkaz do kompanijnych. Brzmiał on: »Dywizja Piłsudskiego z 4. pułkiem w awangardzie maszeruje na Ludwinów«. [...] O trzeciej wymarsz szeroką drogą do Ludwinowa»<sup>15</sup>.

W ferworze walki legionieści nie zapominali o modlitwie. „W niedzielny dzień 18 lipca wokół Urzędowa słychać było bitewny zgiełk. Kule błdziły też wśród urzędowskich zabudowań. Nie przeszkadzało to ks. Stanisławowi Żytkiewiczowi, kapelanowi I Brygady, by w na wpół zrujnowanej świątyni dla legionistów i miejscowej ludności sprawować Najświętszą Ofiarę. Słowami kazania wlewał w serca otuchę. Jakby na przekór szalejącemu wokół wojennemu barbarzyństwu mówił o cierpieniu i o miłości, o darowaniu win i przebaczeniu. Wierni, których zebrało się »paręset«, odśpiewali po mszy »Boże, coś Polskę«. Nie pamiętam, bym się kiedyś goręcej modlił, jak w ową cudną letnią niedzielę polską w Urzędowie” – zapisał legionowy żołnierz Stanisław Chudyba<sup>16</sup>.

Na koniec wspomnień kilka słów A. Sokolnickiego: „»Cała kraina w mogiłę zapadła«, zamieszczone w Ilustrowanym Tygodniku Polskim, dotyczące pejzażu Urzędowa i okolic po przejściu frontu. Za lasem, za piaszczystą drogą traktu, znowu schowane w dołku przed najchytrzejszymi oczyma – miasteczko Urzędów. O krasnym zachodzie słońca nie widziałem nigdy tak malowniczego obrazu: ulice, szereg ulic miast znaczony słupami spalenisk, na górze sterczy zawalony kościół bez wieży, rynek okolony najbardziej różnym opłotem ruin. I tylko dwa domy »kazonne« z całą brutalnością nieposzlakowanego wyglądu skupiają w sobie ruch: pół ogłupiałą ludność, w dali przeciągają wielkie wojska... Tak jest dzień za dniem. Zdziwienie wywołuje niespodziewanie zachowany dom: ocalałe chaty szczelnie kryte od nieszczęść zielenią. Dwór gdzieniegdzie pozostał wśród zgliszcz wszystkiego, na świadectwo pańskiej świetności gospodarstw. Na drodze od Urzędowa do Wilkołazu, dziesięć wiorst jakby miedzą wśród złotych pól... same zgliszczą. Zrównana pańska fantazja ze skrzętnym dobrobytem chłopów. Tyle pięknych drzew owocowych wydało w tym roku dziwny owoc: grudami leżą małe zwęglone jabłuszka. Człowiek przyzwyczajony do tego widoku, wszystko to się zresztą dzieje w lipcowym słońcu, w powodzi zbóż, w pszenicznej lubelskiej ziemi»<sup>17</sup>.

Z opowieści rodzinnych wiem, że dom mojego pradziadka na Mikuszewskim także został spalony w 1915 roku. Żonę jego wraz z pięciorgiem dzieci przyjął na kilka tygodni pod swój dach rodzina państwa Gozdalskich z Bęczyna. Warunki w czasie wojennym były bardzo ciężkie, jedną deszczową noc mój sześciolatek wtedy dziadek spędził pod lipą rosnącą przy domu. W czasie gdy Rosjanie spalili dom mojego pradziadka (Antoni Rolla), on sam walczył za cara. Pradziadek wzięty był do wojska w 1914 r. w Lublinie, mając 43 lata. Był w Karpatach oraz na Wołyniu. Powrócił szczęśliwie dopiero w roku 1918.

Walki stoczone przez I Brygadę po przejściu Wisły spowodowały uszczuplenie jej stanu liczebnego. W samym Urzędowie zginęło 15 legionistów. Luki te próbowano wypełnić ochotnikami zgłaszającymi się do batalionów. „Władysław Belina-Prażmowski wspominał, że po walkach w okolicach Urzędowa do oddziałów jazdy, którymi dowodził, zaciągnęło się 25 ochotników. Inny pieszy żołnierz I Brygady pisał, że legionieści, odchodząc z Urzędowa, zabrali ze sobą kilkunastu »dzielnych chłopaków«, którzy choć w części zapełnili luki po poległych.

Z zestawień Roberta Bijasiewicza wynika, że z Urzędowa i okolic do Legionów wstąpiło 28 ochotników<sup>18</sup>.

W rodzinach tych ochotników przechowuje się pamięć o ich odwadze, gdy szli w nieznane walczyć o Polskę. Właśnie wtedy do Legionów wstąpiło dwóch braci mojego pradziadka od strony babci: Jan i Aleksander Gruchalscy. Sam pradziadek był wzięty do carskiej armii i był w Karpatach. W 1915 r., będąc w okolicach Zaklikowa zdezerterował z wojska rosyjskiego i ukrywał się aż do odejścia Rosjan na wschód.

W Urzędowie kultywuje się pamięć poległych legionistów pochowanych naprzeciw cmentarza. Okupili oni swoim bohaterstwem, poświęceniem, a w końcu ofiarą krwi wolność naszej ojczyzny. Nie doczekali tego. Nie ujrzeli Polski wolnej. Jednak głęboko wierzę, że niesli Polskę i wolność w swoich sercach, które na zawsze zostały w urzędowskiej ziemi. W Urzędowie przy ulicy Wodnej stoi dom wybudowany przez Teofilę i Aleksandra Golińskich, w którym Komenda Brygady stacjonowała przez pięć dni. W tym roku w maju był tam przystanek rajdu motorowego szlakiem I Brygady, na którym wspominaliśmy tamte czasy. Urzędów miał szczęście, iż właśnie tędy przebiegał szlak wojenny legionistów Piłsudskiego. Wielu z nas nosi w sercu i w myśli szczerą pamięć i wdzięczność, iż to właśnie oni przyczynili się do odzyskania niepodległości przez Polskę w 1918 roku. Pamiętamy o nich w Dzień Wszystkich Świętych, gdy zni-

cze z trudem mieszczą się przed pomnikiem. Pamiętamy w Święto 3 Maja, w Święto Odzyskania Niepodległości. W tym roku 15 lipca uroczystość obchodziliśmy 100. rocznicę bitwy pod Urzędowem. Również 15 sierpnia w Dniu Święta Wojska Polskiego odwiedzamy i wspominamy w miejscu wiecznego spoczynku ich młodzieńczą służbę ojczyźnie. Z kolei 8 listopada odbyła się wieczornica, podczas której śpiewaliśmy pieśni legionowe. Organizatorzy – grupa „Preludium” przygotowała już kolejne wspólne śpiewanie, na które przybyło około stu osób, mających na celu wspomnienie dni, kiedy Polska odzyskała niepodległość.

#### Przypisy:

- <sup>1</sup> R. Starzyński, *Cztery lata wojny w służbie Komendanta*, s. 192.
- <sup>2</sup> Tamże, s. 194.
- <sup>3</sup> Tamże.
- <sup>4</sup> Tamże, s. 197.
- <sup>5</sup> Tamże, s. 198.
- <sup>6</sup> Tamże, s. 198.
- <sup>7</sup> Tamże, s. 199.
- <sup>8</sup> W. Lipiński-Socha, *Szlakiem I Brygady*, s. 143.
- <sup>9</sup> Tamże.
- <sup>10</sup> Tamże, s. 144.
- <sup>11</sup> Tamże.
- <sup>12</sup> Tamże.
- <sup>13</sup> Tamże, s. 145.
- <sup>14</sup> Tamże, s. 146.
- <sup>15</sup> Tamże, s. 146.
- <sup>16</sup> J. Konefał, *Legiony Polskie w Lubelskiem 1914–1918*, s. 55.
- <sup>17</sup> „Ilustrowany Tygodnik Polski”, Kraków 1915, nr 3, s. 48.
- <sup>18</sup> J. Konefał, dz. cyt., s. 105.

**Sylwester Buda**

## Kamienie mówią...

Z państwowym lasem w Kraśniku Fabrycznym, dawniej należącym do Ordynacji Zamojskiej, sąsiaduje las od strony zachodniej, którego właścicielem był mieszkaniec Urzędowa, przedmieścia Mikuszewskiego, inżynier leśnik, pan Gruchalski (imienia nie pamiętam). W lesie tym był duży kamień (głaz), znacznie wystający ponad teren na skraju lasu, od strony północnej doskonale widoczny z drogi polnej z Urzędowa do Wyznianki. Na tym kamieniu odpoczywał Józef Piłsudski w drodze



Pasierbica siostry Andrzeja Chudzińskiego z Urzędowa na kamieniu, na którym odpoczywał Piłsudski

do Urzędowa 14 lipca 1915 r. Po I wojnie światowej dla upamiętnienia tego wydarzenia wykuto na tym kamieniu orła i napis: „Tu odpoczywał Józef Piłsudski 14 lipca 1915 r.”. Orzeł i napis były pomalowane tak, że można było je odczytać z daleka.

Przed II wojną światową i w czasie okupacji, jako małe dziecko, chodziłem do tego lasu na poziomki i leśne truskawki, których był duży wysyp. Za każdym razem przechodziłem koło tego kamienia w jedną i drugą stronę. Kiedy pewnego razu poszedłem znów do lasu, tego napisu i orła nie było. Był za to wykuty orzeł niemiecki (widoczny na zdjęciu).

Po „wyzwoleniu” orła zlikwidowano, a na początku lat sześćdziesiątych kamień odkopano i na płozach stalowych za pomocą czołgu, w żółwym tempie przeciągnięto i ustawiono na skwerku przy Alejach Niepodległości i ul. Mickiewicza. Stoi tam do dziś, a na nim tablica z napisem: „Pamięci pomordowanych przez faszystów hitlerowskich w latach 1940–1944 w XX rocznicę PRL. Społeczeństwo Powiatu Kraśnickiego. Kraśnik Fabryczny 1964 r.”

PS. Na osiedlu fabrycznym w czasie okupacji mieszkało kilka rodzin niemieckich. Niemki z dziećmi w towarzystwie 2–3 żołnierzy przychodziły też do tego lasu na poziomki. Omijaliśmy ich z daleka, ponieważ podczas spotkania zabierali nam owoce.

Jan Lucjan Kochanowski ps. „Orkan”

## Garść wspomnień z konspiracji

Doszedłem do wniosku, że inny tytuł, powiedzmy – „Garść wspomnień z partyzantki”, byłby zbyt pretensjonalny, zwłaszcza że ani razu nie strzelałem do Niemców.

O ile dobrze zapamiętałem, to dnia 11 listopada 1943 r. stałem się członkiem placówki Batalionów Chłopskich (BCh) powstałej pośród pracowników majątku ziemskiego Łopiennik, której komendantem został kowal Michał Mrok ps. „Jabłko”. W zorganizowaniu placówki współdziałał znany lubelski partyzant „Kruk” (Ryszard Dzikowski) – komendant placówki BCh (wcześniej NSZ) z Zosinka. Przy stole zasłanym białym obrusem stał z jednej strony krucyfiks i zapalona świeca, z drugiej, jako dekoracja, symbol czasów – erkaem Diechtiarowa. Zebrani w dwuszeregu na baczność z podniesionymi do góry dwoma palcami prawej ręki powtarzaliśmy za „Krukiem” rotę partyzanckiej przysięgi, kończącej się słowami: „Tak mi dopomóż Bóg”.

Następnie „Kruk” sporządził listę zaprzysiężonych w układzie: pseudonim, stopień wojskowy, rodzaj broni i wiek. Na swój pseudonim wybrałem stare rycerskie zawołanie Korwin-Kochanowskich „Bujny”. Gdy doszło do mnie, okazało się, że „Bujnego” wybrał już ktoś przede mną. Wówczas „Kruk” zaproponował dla mnie „Bujnego II”. To mi jednak zupełnie nie konweniowało i naprędce wybrałem „Orkan” (akurat wtedy na zaocznych tajnych kompletach u sióstr urszulanek w Lublinie, przerabiałem Władysława Orkana). Z wybranym pseudonimem miałem później kłopoty, bo w rezultacie zamiast „Orkana” stałem się „Organem”, a bardziej dociekliwi towarzysze z placówki dręczyli mnie pytaniami, czy chodzi o instrument muzyczny, czy o męską część ciała – a jeśli tak, to o którą. Z uwagi na wygląd wszyscy obcy wołali na mnie „rekrut” – co mi jednak zupełnie nie przeszkadzało.

Na wspomnianej liście wszyscy byli po wojsku i udziale w działaniach wojennych 1939 roku, dlatego jako jedyny zostałem określony jako „rekrut”. Przy pytaniu o wiek, wstyd się przyznać, ale skłamałem, mówiąc, że niezadługo kończę 18 lat i tak zostałem odnotowany. Brakowało mi wówczas jeszcze sporo do ukończenia 16 lat, ale na szczęście nikt się tym nie interesował. Jak wynika z załączonego zdjęcia z lipca 1944 roku, kiedy właśnie ukończyłem 16 lat, fizycznie wyglądałem chyba na tyle, ile sobie kłamstwem dodałem.

Nasza placówka cierpiała na brak uzbrojenia. Dopiero w maju 1944 roku była w stanie wystawić jako tako uzbrojony patrol w sile 1 + 2. Tak więc udziałem w akcjach bojowych nie mogę się niestety chwalić, natomiast czytelnikom pragnę przekazać kilka mniej lub bardziej zabawnych sytuacji, w których w okresie konspiracji się znalazłem. W jakimś sensie można je chyba jednak kojarzyć z partyzantką.

Jeszcze przed moim wstąpieniem do BCh Niemcy brali już tęgie lanie i w Afryce, i na froncie wschodnim. Dlatego byłem pełen obaw, że wojna skończy się bez mojego

udziału. W rodzinie tradycji wojennych nie brakowało: ojciec i stryj byli ułańskimi ochotnikami 1919/1920, natomiast dziadek po kądzieli walczył w powstaniu styczniowym. Wiedziałem też, że dwa lata starsza ode mnie siostra Izabella (późniejsza „Błyskawica” od „Zapory”) jest już członkiem AK i aktualnie przechodzi przeszkolenie sanitarne w szpitalu w Lublinie. Zwróciłem się więc do ojca o ułatwienie wstąpienia do organizacji. Ojczulek (zaangażowany po uszy w „Uprawie”) wylał na moją głowę wiadro zimnej wody, mówiąc, że smarkaczy jeszcze do AK nie przyjmują, a ja mam się teraz uczyć, bo po wojnie ojczyzna będzie potrzebowała przede wszystkim wykształconych obywateli.

Wypada teraz zrelacjonować czytelnikom, jak zareagował ojciec na moje przystąpienie do BCh, o którym dowiedział się skądś już kilka dni po przysiędze. Zostaliśmy z komendantem placówki wezwani do kancelarii. Byłem święcie przekonany, że ojciec zażąda usunięcia mnie z placówki z uwagi na mój „smarkaty” wiek. Nie doceniałem jednak ojczulka, który oświadczył, że cieszy się z powstania placówki i liczy, że zapewni ona również ochronę dworu przed napadami bandyckimi. Na jej dobrojenie asygnuje 100 tys. „młynarek” (podówczas cena 4 starych karabinów). Zwrócił się również do komendanta, aby nie uczył mnie zabijać, bowiem ci bolszewicy, których zabijał w trakcie szarż w 1920 roku, przez długie lata gnębili go nocą we snach.

Dnia 15 września 1944 roku, rozstając się z konspiracją, opuszczałem na zawsze mój rodzinny Łopiennik. Wzywał nas licealistów dyrektor Gimnazjum im. St. Staszica w Lublinie do porządkowania gmachu szkoły przy Alejach Raławickich po szpitalach niemieckim i radzieckim.

Wcześniej żegnałem się z komendantem naszej placówki, która po ukryciu broni „zeszła” do podziemia. Na odjazdne oprócz mocnego uścisku dłoni otrzymałem od niego zwitek banknotów pozostałych z zakupu broni oraz butelkę zawierającą jakąś rdzawą ciecz. Był to spirytus gorzelniany trzymany nieopatrnie w zardzewiałej bańce od mleka, który jednak nie utracił ani mocy, ani smaku i według komendanta stanowił najpewniejszą walutę przy załatwianiu nawet najbardziej trudnych spraw. Mnie posłużył do „wkupienia się” do paczki kolegów z klasy, którzy podobnie jak ja, mieli do czynienia z konspiracją.

\*

Pewnego grudniowego dnia 1943 roku byliśmy na odprawie w Majdanie Skrzyneckim u kpt. „Ostrogi” (Józef Gołąb, komendant obwodu BCh „Chata”, z zawodu nauczyciel, repatriant z poznańskiego, który w sierpniu 1944 r. zaproszony na rozmowę przez radzieckiego komendanta wojennego w Bełżycach, udał się do niego i od tego czasu ślad po nim zaginął).

Przy sposobności komendant naszej placówki pragnął pochwalić się pierwszym naszym karabinem i polecił go

mojej opiece, z czego byłem dumny jak paw. Wracaliśmy saniami późnym wieczorem, wszędzie pełno śniegu i w związku z tym, mimo że nie było księżycy, było niezupełnie ciemno. Było nas na saniach czterech, bo poza mną i komendantem jechali jeszcze jego zastępca „Grusza” i jakiś bojowy podoficer od „Argila” (oddział leśny BCh). W pewnym momencie na drodze dochodzącej z prawej strony, a więc chyba z Grądów, zauważyliśmy z dala zbliżające się sanie i zaraz padło z nich kilka strzałów.

Komendant, który powoził, krzyknął tylko: „z sań i w lewo do lasu”. Wówczas wszyscy pokonując małe, przydrożne wzniesienie przycupnęli w ciągnącym się wzdłuż drogi rzadkim brzeźniaku. Muszę tu dodać, że wszyscy oprócz mnie, bowiem gdy wyskakiwałem z sań, pas karabinu owinał się wokół kłonicy i uwolniłem go dopiero po dłuższej szarpaninie. Chciałem się udać śladami towarzyszy, ale znowu padło kilka strzałów, a trzeba było pokonać kilkadziesiąt metrów pod górę w odkrytym terenie. Zdecydowałem się ukryć na drodze za saniami i czekać na rozwój sytuacji. Na marginesie dodam jeszcze, że do mojego karabinu nie było amunicji, a towarzysze podróży nie byli uzbrojeni.



„Orkan” w lipcu 1944 r.

Nie wiem jak długo to trwało, ale w pewnym momencie konie ruszyły i nasze sanie zatrzymały się dopiero obok sań, z których padały strzały. Leżąc na środku drogi, niewiele więcej niż 50 m od sań „przeciwnika” przytulilem się jak mogłem do śniegu i zamarłem w bezruchu, starając się być jak najbardziej „płaskim”. W pewnym momencie od strony strzałów ktoś krzyknął głośno: „Franek! Tam na drodze leży chyba jakiś człowiek, pociągnij po nim z pepeszki!”. Franek nie był jednak skory do „pociągania pepeszki” i autorytatywnie odkrzyknął: „Jaki tam człowiek, to przecież końskie g...no!”. Z powodu nazwania mnie „g...nem” nie poczułem się bynajmniej obrażony, przeciwnie odczułem nawet ewidentną ulgę, że za nie zostałem potraktowany.

Za chwilę napięta sytuacja rozładowała się błyskawicznie, gdy nasz współpasażer od „Argila” krzyknął: „Franek! Ty k...tasie! A od kiedy to twój urzyn (karabin z odciętą częścią lufy, kolby i bez urządzeń celowniczych) nazywa się „pepeszka?!”. I dalej: „Ja wam jaja powyry-

wam za marnowanie amunicji”. Okazało się bowiem, że „argilowiec” zna dobrze strzelających, którzy mitygowali się i przepraszaali, tłumacząc strzelaninę obawą o „nieboszczyka”, którego wieźli do masarza w Borzechowie, czyli wypatroszonego świniaka przeznaczonego do przetworu na wędliny na jakąś uroczystość rodzinną. Nawet proponowali nam po polciu „nieboszczyka” na zgodę, ale chętnych jakoś nie było.

Rozjechaliśmy się każdy w swoją stronę. Pół roku później podczas lipcowej koncentracji w Borowie (przed obsadzeniem Chodla) jakiś BCh-owiec podszedł do mnie i zagadnął: „Ej rekrut! Czy to ciebie koło Grądów wzięliśmy zimą za końskie g...no?”. Udałem, że nie wiem o co chodzi.

\*

Kolejny ewenement miał miejsce również nocą w trakcie powrotu furmanką do Łopiennika. Tym razem było wówczas zupełnie ciemno i siał ciepły majowy deszczyk. Wracaliśmy z Puszna koło Godowa, gdzie w tamtejszej szkole, pod pretekstem szkolenia rolniczego, odbywały się co miesiąc prawie jawnie odprawy komendantów placówek BCh. Komendant zawsze zabierał mnie ze sobą, nazywając mnie swoją sekretarką. Dodam, że nie miałem nic do roboty, bo i tak notować nie było wolno.

Wyjeżdżaliśmy z Puszna już późnym wieczorem. Zabralo się z nami dwóch BCh-owców, którym było po drodze. Do Łopiennika było około trzech godzin jazdy, a konie tak zapamiętały drogę, że wcale nie trzeba było nimi powozić. Poza mną jechali sami palacze i ciągle ćmili papierosy do momentu, gdy zawiodła jedyna zapalniczka, a zawilgocone zapalki nie chciały się zapalić.

Przejeżdżaliśmy akurat przez jakąś wioskę i w jednej z chałup paliło się światło, więc rekrut – czyli ja – dostał papierosa i miał go przypalić i pożyczyć zapalki. Z papierosem w zębach (sam jeszcze nie nauczyłem się palić) zastukałem do drzwi, a że nikt nie odpowiadał, śmiało wszedłem do sieni. Światło było w izbie po lewej stronie, więc znowu zastukałem do drzwi, ale tym razem też nikt nie odpowiadał. Wszedłem pewnie do izby i oniemiałem. W swoim zaledwie 16-letnim życiu uczestniczyłem wprawdzie w kilku pogrzebach, ale nigdy jeszcze na oczy nie widziałem nieboszczyka. A tu w godzinie duchów stanąłem nad otwartą trumną, w której leżała staruszcza z rękami złożonymi jak do modlitwy owiniętymi różańcem, a przy trumnie paliły się cztery gromnice i panowała niczym nie zmacona cisza. Wyznam, że zrobiło mi się nieswojo. Schyliłem się nieco, aby przypalić papierosa i wtedy zauważyłem, że nieboszcza ma oko od mojej strony niezupełnie zamknięte i tak jakby mi się przypatrywała. Nie wiem jak to się stało, ale wymiotło mnie do sieni, gdzie z bijącym sercem, głęboko oddychałem. Wtedy dopiero uświadomiłem sobie na jaki wstyd narażę się, jeżeli wrócę bez przypalonego papierosa. Po dłuższej chwili zebrałem się na odwagę, wróciłem do nieboszczki, przyklęknąłem i zmówiłem za jej duszę

„Wieczny odpoczynek”. Wówczas dopiero przypaliłem papierosa od gromnicy i wróciłem do furmanki.

„Dlaczego to tak długo trwało?! Dlaczego nie przyniosłeś zapalek?!” – przekrzykiwali się wzajemnie palacze. Odpowiedziałem spokojnie, że przypaliłem papierosa od gromnicy przy trumnie a nieboszczka zapalek nie miała przy sobie.

Do końca podróży nikt już nawet nie pisnął słówka.

\*

Kolejne zdarzenie miało miejsce 23 lipca 1944 roku. Tego dnia Lublin został już chyba zajęty przez Czerwoną Armię. Odgłosy artylerii słychać było wszędzie wokół z wyjątkiem zachodu. Za ustępującymi Niemcami ciągnęły całymi kolumnami furmanki z uzbrojonymi rodzinami ukraińskimi i ich dobytkiem. Miały wówczas miejsce wywoływane przez nich pożary, mordy i gwałty. Od zmroku do świtu trzymaliśmy więc warty w rejonie dworu i czworaków, a wsiowi akowcy w wiosce. Oczywiście nasza siła bojowa była znikoma i wystarczała jedynie na odparcie ataku pojedynczych napastników. Chodziło jednak o stworzenie systemu wczesnego ostrzegania i współdziałanie poszczególnych samoobron.

Tego dnia po całonocnej warcie pospałem nieco, a później zabrałem się do czyszczenia broni. Robiliśmy to zwykle w kuźni położonej całkiem na uboczu obszernego łoپیennickiego gumna, którą jako kowal rządził

nasz komendant. Była ona równocześnie pępkim naszej konspiracyjnej placówki. W tym czasie byłem w kuźni sam, bowiem komendant z pomocnikiem przeglądali w gumnie żniwiarkę. Po wyczyszczeniu złożyłem karabin i właśnie zamierzałem odnieść go do skrytki w stodole, gdy niespodzianie nadjechała bryczka pełna uzbrojonych Niemców i zatrzymała się mniej więcej 50 metrów od kuźni. W pierwszym odruchu wrzuciłem karabin do stojącego obok kowadła dużego, pełnego brudnej wody koryta służącego do hartowania osi i obręczy i jak gdyby nigdy nie zapamiętałem zacząłem walić młotkiem w jakiś przypadkowy kawał żelastwa. Z bryczki wygramolił się tymczasem elegancki oficer Wehrmachtu w bryczesach i ruszył w kierunku kuźni. Przed samą kuźnią sięgnął, ale nie po pistolet, który miał w kaburze u boku, lecz do rozporka spodni i za stojącym przy rogu kuźni wielkim krzakiem czarnego bzu „ulżył sobie”. Mnie też ulżyło, gdy oficer gramolił się z powrotem na bryczkę. Niemcy zapytali kogoś o drogę i już ich nie było.

Gdy zobaczyłem prowokacyjnie wystający z koryta pas nośny karabinu, schwycił mnie paroksyzm śmiechu. Przeszedł zaraz, gdy pomyślałem, że zamiast zasłużonego wypoczynku czeka mnie ponowne rozbieranie i czyszczenie broni. Całe opisywane wydarzenie trwało właściwie moment i nawet nie zdążyłem zbytnio się wystraszyć. *Nota bene* byli to ostatni umundurowani, uzbrojeni i żywi przedstawiciele Wehrmachtu, jakich przyszło mi oglądać.

---

**Kazimierz Cieśliski**

## Moje przeżycia od chwili ucieczki Niemców do wkroczenia Armii Czerwonej do Urzędowa

Czata w liczbie 48 żołnierzy zajmująca wawóz o nazwie „Wodończa” ubezpieczała Urzędów od południowego wschodu, tj. od strony Kraśnika (zobacz: K. Cieśliski, *Ostatnie dni niewoli pod Kraśnikiem. Walka z żandarmami*). Przez podłączenie się do linii telefonicznej miała ona połączenie z Urzędowem. I z Urzędowa właśnie przyszła wiadomość, że Ukraińcy idą właśnie na Urzędów od strony Lublina. Otrzymaliśmy rozkaz wymarszu na przełaj przez pola w kierunku Urzędów–Zakościelne. To nie był marsz, to był bieg. 2 km odległości przebyliśmy szybko. Dochodząc do Zakościelnego z góry, na błoniach zastaliśmy następujący widok: długi rząd chłopskich wozów załadowanych po brzegi różnymi towarami ciągnął się od krzyża na rozstajach przed młynem Masiaka od strony Urzędowa (dotąd doszło czoło taboru) do pierwszych zabudowań przedm. Rankowskiego, gdzie ginał na gościńcu między chłopskimi zagrodami. Gościńiec w owych czasach to była zwykła polna droga. Między tymi wozami było kilka beczkowozów z wodą pitną.

Pierwszego zabitego Niemca w stopniu sierżanta zobaczyłem leżącego tuż za mostem po lewej stronie obok

młyna Masiaka. Leżał już bez karabinu i butów. Wokoło leżały porozrzucane jego zdjęcia. Dalej leżały trupy kolejnych zabitych Niemców i Ukraińców. Broni przy żadnym już nie było. Tę zabierali natychmiast partyzanci lub miejscowi chłopi i dołączali do oddziału. Od strony budynków na błoni przedmieścia Rankowskiego dochodziły strzały w naszym kierunku. Spomiędzy budynków Zakościelnego, tzw. Górek, dochodziły do nas gwizdy kul. Walka zbliżała się do końca i my już nie mieliśmy co robić.

Większość Niemców i część Ukraińców zostawiwszy tabory i stado krów, przez rzekę i przedm. Zakościelne uchodziła na przełaj przez pola pokryte wysokim zbożem w kierunku fabryki w Kraśniku. W toku walki Ukraińcy, mszcząc się za przegraną, zdążyli zamordować kilku mieszkańców Urzędowa. Oto ich nazwiska: Teofil Bałaszek, Zdzisław Gładkowski, Tadeusz Banaszek i Błażej Wośko. Poznaniaka, nazwiskiem Czerny, mieszkającego w Urzędowie po wypędzeniu z rodzinnych stron przez Niemców, Ukraińcy bagnetem przybili do podłogi. Ukraińcy rozproszyli się po okolicznych polach, kryli się w wysokim zbożu.

Partyzanci ze wszystkich oddziałów radośni, rozgrzani walką, roześmiani zwycięstwem, szli grupami w kierunku rynku w Urzędowie. Prowadzili sporą ilość jeńców, Ukraińców. Trzeba zaznaczyć, że Ukraińcy wzięci do niewoli odznaczali się wyjątkowym wyglądem. Wszyscy byli zarośnięci, brudni, zakurzeni. Zaznaczały się tylko ponure oczy, patrzące wrogo. Spośród tych jeńców wydzielono pewną ilość osób, które twierdziły, że są Polakami spod Zamościa, Hrubieszowa, właścicielami wozów i koni. Według ich twierdzenia, Niemcy i Ukraińcy wzięli ich „w podwoły” i zmusili do wycofywania razem z nimi na zachód. Widziałem, stali w grupie na rynku jeszcze pod konwojem. Pokazywali medaliki na szyi, opowiadali czystą polszczyzną, że są Polakami. Odstawiono ich do Dowództwa mieszczącego się na przedm. Mikuszewskim za groblą. Dowództwo po wnikliwym przesłuchaniu ich, gdy wzajemnie jedni za drugich ręczyli, że są Polakami ze wschodu, gdy niektórzy pokazywali dokumenty stwierdzające ich prawdomówność – rozpuściło ich. Dostali kwatery, jedzenie. Otrzymali swoje wozy i konie i oczekiwali przejścia frontu i możliwości powrotu w rodzinne strony.

Tymczasem na rynek wracały dalsze oddziały partyzanckie. Na kilku wozach wieźli rannych. Pamiętam – jeden rudowłosy młody chłopak był ranny w dolną część brzucha. Leżał na wozie i jęczał.

Zaczął się ciekawe widowisko, które trwało kilka dni i które będę długo pamiętał. Ukraińcy, uchodząc przed partyzantami, rozproszyli się po okolicznych polach i pochowali w wyższe uprawy, jak konopie, słoneczniki, wyższe ziemniaki itp. Ludność miejscowa, gdy to zobaczyła – zaczęła urządzać formalne oblawy na polach. Samorzutnie, bez nakazów, Ukraińców chwymano, wiązano po dwóch, trzech i w asyście chłopów uzbrojonych w widły, cepy, drągi itp. broń prowadzono na rynek w Urzędowie, by ich przekazać dowództwu partyzanckiemu. Gdy to pierwszy raz na rynku zobaczyłem – zacząłem się głośno śmiać. Oto idzie kilka postaci ludzkich. Brudni, zarośnięci, ponurzy, o groźnych oczach. Powiązani chłopskimi postronkami. Za nimi idzie kilku miejscowych chłopów z groźnie nastawionymi na Ukraińców widłami, kółkami i innymi szpikulcami. Ta chłopska eskorta również miała groźną minę. Tylko zdjęcia robić. Niestety nikt tego nie uczynił. A szkoda. Przypominał mi się wówczas widziany gdzieś obraz przedstawiający odwrót Francuzów spod Moskwy w 1813 roku. Na tym obrazie widniało też kilku „okrutnie” ubranych żołnierzy francuskich w całej scenerii ciężkiej rosyjskiej zimy – powiązanych sznurami. Za nimi z groźną miną szły dwie rosyjskie kobiety również uzbrojone w widły. Historia się powtarza.

Pamiętam – wracał z walki oddział na koniach. Był tam między innymi kolega Ryszard Gałkowski ps. „Bem”. Spośród zebranego na rynku tłumu wybiegło kilka młodych kobiet z kwiatami, obdarowując nimi zwycięzców. Było to na ulicy między apteką a spółdzielnią, u jej wylotu z rynku na Zakościelne. Wieczorem, zmęczony wrażeniami ostatnich dni i godzin, poszedłem do domu nieco się przespać. Spać nie dały mi częste strzały karabinowe huczące całą noc na północ od Urzędowa. Jak

się rano dowiedziałem – wszyscy Ukraińcy wzięci przez partyzantów do niewoli w liczbie około 200 zostali przez dowództwo partyzanckie zlikwidowani. Rozstrzeliwano ich przez całą noc w wąwozie wygonu, obecnej szosy asfaltowej wybiegającej z Urzędowa w kierunku wsi Wierzbica i dalej na północ do Warszawy.

Tu może się narzucić pytanie: Czy dowództwo partyzanckie postępowało słusznie, dając rozkaz likwidacji około 200 ludzi. I wówczas, i dziś po 35 latach odpowiedź jest jedna: tak. Dowództwo partyzanckie postępowało słusznie. Dlaczego? Bo Ukraińcy to byli ludzie, którzy przez wiele lat, jeszcze przed rozpoczęciem wojny współpracowali z Niemcami na szkodę Polski i Polaków. Podczas okupacji na swoim terenie pomagali Niemcom przy eksterminacji Żydów, likwidacji Polaków. Z chwilą gdy do ich stron zbliżał się front, zbliżały się rosyjskie władze – wiedzieli, że musieliby życiem przypłacić współpracę z Niemcami. Nie czekali na to. Uciekali ich mocodawcy – uciekali i oni. I dowództwo partyzanckie ma sumienie spokojne. Zlikwidowało zdrajców. Wprawdzie po wkroczeniu Armii Czerwonej do Urzędowa komendant wojenny miasta, gdy się o tym dowiedział – miał pretensje do dowództwa partyzanckiego dlaczego ww. dowództwo nie poczekало z likwidacją Ukraińców do czasu przyścia wojsk Armii Czerwonej do Urzędowa i nie przekazało jeńców wojskom radzieckim.

Gdy przeanalizujemy tę sprawę, łatwo dojdziemy do wniosku, że nie było innego wyjścia. Front z hukiem działał szybko zbliżał się do Urzędowa. Około 200 ludzi to nie szpilka. Takiej ilości ludzi nie da się bezpiecznie ukryć i odpowiednio zabezpieczyć przed ucieczką i ewentualnym buntem. Nie można też było przewidzieć, jak przetoczy się front przez tę okolicę. Czy Niemcy nie zechcą tu stawić oporu – a wówczas co zrobić z tyłoma niebezpiecznymi wrogami? Najlepszym wyjściem było ich zlikwidować. Tak też uczyniono.

A front zbliżał się szybko. Już słychać było wyraźnie dobiegający ze wschodu huk dział. Szosą Lublin–Kraśnik–Annopol (Wisła) i dalej Ostrowiec parły nieprzerwanie – dzień i noc wojska niemieckie, uciekając na zachód. Tłok na tej strategicznej szosie był wielki, co stwarzało dodatkowe niebezpieczeństwo zbombardowania przez lotnictwo Armii Czerwonej. Nie wszyscy Niemcy mieli cierpliwość posuwać się powoli w tym tłoku. Niektórzy mniej cierpliwi skręcali swoimi pojazdami z głównej trasy Lublin–Kraśnik–Annopol (Wisła) na Lublin–Kraśnik–Urzędów, by bocznym odgałęzieniem polnych wówczas dróg, mniej uczęszczanych, przez Urzędów, Dzierzkowice, Książomierz dojechać do mostu na Wiśle w miejscowości Annopol. I to ich gubiło.

Gdy pierwsze wozy załadowane wojskiem niemieckim zaczęły się pokazywać na szosie przed Urzędowem, jeden z oddziałów partyzanckich stacjonujących w Urzędowie przystąpił do akcji. W miejscu gdzie kraśnicka szosa dochodzi pod kątem prostym do ul. Wodnej w Urzędowie, tworząc literę T, tuż przy domu Rolli na tejże ulicy od strony Dzierzkowic partyzanci zbudowali barykadę uniemożliwiającą ucieczkę niemieckich pojazdów w kierunku wsi Dzierzkowice i dalej do mostu na Wiśle w Annopolu. Zaś za drewnianym domem Pietronia czatowali na Niem-

ców partyzanci. Od strony Kraśnika byli niewidoczni, zasłaniał ich dom Pietronia.

Pamiętam taką scenę: jest ciepło, pada deszcz. Na skrzyżowaniu ul. Wodnej z szosą kraśnicką stoi duża grupa kobiet z dziećmi, nawet niemowlętami. Nastrój w grupie wesoły, gwar, podniecenie, płacz niemowląt. Parę kroków dalej kilku partyzantów pali papierosy, śmieje się, rozmawia z kobietami. Wszyscy, i partyzanci, i kobiety są tutejsi, znają się. Nagle jedna z kobiet stojąca na czatach – bliżej wylotu szosy krzyczy: „Jada, jada!”. Wtedy cała grupa kobiet i dzieci szybko przebiega przez szosę, chowając się za dom Pietronia. Wszystko w atmosferze śmiechu, żartów. Dziś z perspektywy lat mogę stwierdzić jedno: ci ludzie nie zdawali sobie sprawy z powagi chwili i z tego co robią. Chyba przyczyniły się do tego dotychczasowe sukcesy i ani jedna przegrana. Przecież gdyby akcja się nie udała – mogliby wszyscy zginąć, a miasteczko lec w gruzach.

Gdy niemiecki samochód był już z 50 m od skrzyżowania – partyzanci uzbrojeni w 1 rkm i kilka automatów – wyskakiwali zza domu Pietronia, stawali na środku szosy, z rkm-u dawali długą serię strzałów tuż nad głową kierowcy. Skutek był natychmiastowy. Kierowca błyskawicznie zatrzymywał pojazd i razem z żołnierzami będącymi w pojeździe zgodnie podnosili ręce do góry. Następował rozkaz wyjścia z wozu i dalszego marszu już pod konwojem na rynek do dowódcy oddziału partyzanckiego. Do wozu wsiadał jeden z partyzantów i odprowadzał go w bezpieczne miejsce.

Takie scenki miały miejsce aż kilkanaście razy! Aż dziw bierze, że tak prosto, tak prymitywnie Niemcy dali się wciągnąć w matnię. Ale do czasu. Jeden z pojazdów pod gradem kul, nie bacząc na nic, pod ogniem rkm-u skręcił w lewo, z trudem przebył skraj zapory, barykady i pomknął ul. Wodną w kierunku wsi Dzierzkowice i dalej do Wisły. Drugi wóz pod gradem kul na miejscu zawrócił i chyba cały pomknął z powrotem w kierunku Kraśnika. Zaczynało być niebezpiecznie. Należało spodziewać się działań odwetowych ze strony Niemców. Tak wskazywała logika, ale życie przyniosło inne rozwiązanie. Niemcy już nie mieli czasu na odwet zbrojny. W tym właśnie dniu w Kraśniku był jarmark i aż dziw, że w tak przełomowym czasie pewna ilość osób z Urzędowa i nie tylko z Urzędowa była w Kraśniku na jarmarku. Niemcy (chyba służba porządkowa, feldgendarmierie) żandarmeria polowa – dowiedzieli się od szczęśliwych uciekinierów, że w Urzędowie już rządzą partyzanci. 40 osób z okolicy Urzędowa powracających z Kraśnika Niemcy zagarnęli jako zakładników. Potem wypadki potoczyły się szybko: na małym wojskowym gaziku przyjechało do Urzędowa dwóch Niemców parlamentariuszy, oficerów i kierowca. Do gazika była przymocowana duża biała flaga, widoczna z daleka. Czujka partyzancka (ta zza domu Pietronia) łącznie z kobietami z małymi dziećmi i niemowlętami przy piersi, zauważyli z daleka białą flagę i dopuścili gazik do siebie.

Zdumieli się niemieccy parlamentariusze gdy zobaczyli garstkę partyzantów i dużą grupę kobiet i dzieci. Czujka skierowała i konwojowała Niemców do dowództwa partyzanckiego. Tam Niemcy wyłożyli swoje żądania:

mają 40 ludzi z okolicy Urzędowa, Polaków, zakładników. Partyzanci mają też tylu żołnierzy i oficerów niemieckich wziętych do niewoli. Partyzanci mają też samochody, trochę sprzętu wojskowego i broń po Niemcach. Dowództwo niemieckie rezygnuje z broni i sprzętu. Proponuje zamianę żołnierzy i oficerów niemieckich za zakładników, tutejszych mieszkańców w liczbie 40 ludzi oraz zwrot pojazdów. Nie znam przebiegu rokowań, wiem tylko, że dowództwo partyzanckie nie dowierzało Niemcom i pragnęło zobaczyć ww. zakładników. Pamiętam taką scenkę: z Urzędowa powoli wyjeżdża Niemiecki gazik z oficerami – parlamentariuszami – a między nimi siedzi jeden z naszych. Młody chłopak, ładny, w dobrze skrojonym polskim mundurze i furażerze na głowie. Na rękawie miał biało-czerwoną opaskę A.K. Uzbrojony był w pistolet maszynowy. Nad nimi wszystkimi powiewała biała flaga rozjemców. Widok był tak zaskakujący, że aż niedorzeczny, ale równocześnie jakże wzniosły i piękny. Oto siedzi między wami jako równy z równymi przedstawiciel tego narodu, który wy skazaliście na zagładę. W innych warunkach byście go zamęczyli jak zwierzę. Długo stałem jak urzeczony, patrząc tak długo aż mi gazik z białą flagą zniknął z oczu, a łzy z oczu ciekły po policzkach. Po niedługim czasie wrócił cały i zdrow nasz parlamentariusz, oświadczając dowództwu, że istotnie Niemcy na Budzynie zatrzymali 40 ludzi z Urzędowa grożąc im, że ich wystrzelają, jeśli partyzanci z Urzędowa nie zwrócą im ich żołnierzy i oficerów. Nie było co zwlekać. Wkrótce nastąpiła wymiana. Na rozkaz dowództwa partyzanci przywieźli niemieckich jeńców na rynek.

Śmiechu było przy tym co niemiara. Jeńcy przebywali w Bęczynie w tymczasowym areszcie – w murowanym chlewie. Gdy partyzanci kazali im wychodzić – oni myśleli, że idą na rozstrzał. Zaczęli głośno lamentować, a przodował w tym jeden z oficerów. Rzucił się na kolana i z płaczem całował buty partyzantowi z prośbą, by go nie rozstrzeliwać.

Wymiana nastąpiła na przedmieściu Bęczyn. Tam Niemcy przywieźli naszych zakładników, a partyzanci niemieckich jeńców. Mieszkańcy Urzędowa – zakładnicy u Niemców – gdy zostali przywiezieni na miejsce wymiany i zobaczyli pertraktujących z Niemcami partyzantów, swoich ziomków – płakali z radości. Tak zakończyła się ta operacja. Mieszkańcy miasteczka Urzędowa mieli dużo szczęścia. W prawdzie w okolicy były znaczne siły partyzanckie – ale gdyby Niemcy mieli więcej czasu – tego, co się w Urzędowie i okolicy działo, nie puściliby płazem. Zrównaliby miasteczko z ziemią, a mieszkańców wymordowali. Chwała losowi, że tak się nie stało.

A ja ponownie zostałem wysłany do czaty w wąwozie „Wodońca”.

Tam zlikwidowaliśmy jeszcze kilku żandarmów niemieckich z kraśnickiego garnizonu uciekających furmankami również przez Urzędów, Dzierzkowice do Wisły. Opisałem to w: *Ostatnie dni niewoli pod Kraśnikiem. Walka z żandarmami*.

W trzy dni później przez Urzędów przewalił się bez walki front niemiecki, pułki zmotoryzowane, i dnia 2 lipca 1944 r. do Urzędowa weszły wojska Armii Czerwonej.

Warszawa, luty 1980 r.

Tadeusz Surdacki

## O dawnym urzędowskim sporcie

Jubileusz klubu sportowego „Orzeł” skłonił mnie do wspomnień o funkcjonowaniu kultury fizycznej i sportu na terenie Urzędowa w okresie powojennym.

Zabawy dzieci i młodzieży od zawsze opierały się na sprawności ruchowej i zręcznościowej. W naturalny sposób rodziła się rywalizacja. Kto silniejszy, szybszy, sprytniejszy, wytrzymałszy itd. W wolnych chwilach, głównie w niedziele i święta, zebrana często przypadkowo grupka dzieciaków w różnym wieku, organizowała zabawy – padały różne propozycje, większość decydowała o jej rodzaju. Nie można było się nudzić. Kiedy jakaś forma zabawy „nie wychodziła”, padały nowe propozycje. Te zabawy ruchowe można nazwać spontanicznymi.

Wychowanie fizyczne w szkole przebiegało zaś zgodnie z programem nakreślonym przez władze oświatowe. Zajęcia odbywały się na świeżym powietrzu, przeważnie na placu przyszkolnym. Z tym były poważne problemy, bowiem tylko Bęczyn i Rankowskie miały skromne drewniane budynki. W rynku w czasie I wojny światowej spłonęła szkoła elementarna i kamienica, gdzie mieściło się progimnazjum. Siedmioklasowa szkoła powszechna znalazła lokum w rynku w kamienicy Bijasiewicza, a powołane po wojnie gimnazjum korzystało z innych budynków w rynku, następnie zostało przeniesione do Domu Ludowego. Ta sytuacja wręcz uniemożliwiała prawidłowe prowadzenie zajęć wychowania fizycznego wśród dzieci i młodzieży. Zajęcia z piłką (dużą piłką) ograniczały się do gry w „dwa ognie”. Była to prosta zabawa, mogła się odbywać na niewielkim placu. W szkole podstawowej nie mieliśmy pojęcia, jak wygląda gra w piłkę siatkową bądź piłkę nożną.

Utworzenie Gimnazjum w Urzędowie spowodowało, że pojawiła się starsza młodzież, która zaczęła grać w siatkówkę. Na małym placu przy budynku, w którym mieściła się szkoła (w zachodniej części rynku, później była tam gospoda) urządzono boisko do siatkówki. Tam grali gimnazjaliści, a my z za ogrodzenia podziwialiśmy ich wyczyny. Szkoła podstawowa, a z czasem liceum przeniosły się do Domu Ludowego, ale i tam nie było możliwości urządzenia boiska. Na placu za budynkiem odbywał się skup płodów rolnych, skład węgla i różnych materiałów prowadzony przez Gminną Spółdzielnię „SCh”. Na wszystkich wolnych placach były postoje dla furmanek. Był to podstawowy pojazd służący do transportu i przemieszczania się z odległych wiosek z terenu gminy.

My młodzi po ukończeniu szkoły podstawowej uczęszczaliśmy albo do tutejszego liceum, bądź do różnych szkół tworzonych przy fabryce lub w Kraśniku. Samorzutnie

podejmowaliśmy różne inicjatywy, aby wygospodarować jakiś plac na urządzenie boiska do siatkówki. W „mieście” na wałach, poniżej pomnika „Orła”, pomiędzy wałami wyrównaliśmy skrawek placu i na słupkach zawieszaliśmy siatkę do gry. Był kłopot, bo nie udało się zniwelować naturalnego spadku – piłka często „uciekała” na sam dół do podnóża wału.

Na taki sam pomysł na początku lat pięćdziesiątych wpadli chłopcy mieszkający na początku Bęczyna i Mikuszewskiego. Urządziliśmy boisko w niewielkiej niecce w wąwozie, w „nawoźnym dole”. Siatkę do gry ze sznurków z wymiędlonych konopi uplotła nam mama Wieśka Wołoszyna. Każdy z nas we własnym zakresie zobowiązał się zorganizować po kilka motków konopi. Piłkę składkową zakupiliśmy u chłopaka mieszkającego w Kraśniku na osiedlu przy stacji kolejowej. We dwóch z Wieśkiem



Stoją od lewej: Kazimierz Surdacki, Stanisław Tulacha, NN, Marian Wójtowicz, Tadeusz Surdacki, Zbigniew Witek, Stanisław Podgajny. W pozycji leżącej: Bonawentura (Bonek) Kotowski, Kazimierz Gramek, Józef Sokołowski, Dariusz Wójtowicz

rowerami w niedzielne popołudnie udaliśmy się po piłkę. Zakup się udał, była skórzana, solidna, ale miała jeden feler – była twarda i ciężka, uginała nasze jeszcze zbyt młode palce – zapewne była przeznaczona do gry w piłkę nożną. Tego nie wzięliśmy pod uwagę.

Z uzyskaniem przyzwoitego placu do gry czy innych zabaw dziecięcych był kłopot z uwagi na to, że każdy nieużytek czy poletko, gdzie rosła trawa, stanowił pastwisko dla bydła lub ptactwa domowego. Podstawowym pokarmem dla każdej rodziny było mleko i wszystkie jego przetwory. Nawet te rodziny, które nie miały skrawka ziemi, starały się, aby utrzymać krowę, trochę drobiu, a nawet prosiaka. Każda ilość trawy, gdzieby ona nie rosła, była potrzebna. Jedynym większym placem do wykorzystania na „sport” były gminne błonia przy szkole na Rankowskim. Tam były skromne warunki, które pozwoliły na rozwój piłki nożnej w Urzędowie. Po jesiennym



skoszeniu łąk otwierały się możliwości biegania za piłką na większych przestrzeniach. Choć nie bez problemów. Bęczyńskie łąki przy lesie, gdzie część terenu należała do leśnictwa, staraliśmy się wykorzystać na boisko do piłki nożnej. Srogi leśniczy nie pozwalał, nawet pobił kilku chłopaków. Za to wyśmiewany był w gazetce wydawanej przez Fabrykę.

W moich zbiorach zachowała się fotografia, na której prezentuje się drużyna chłopaków z BęcZYna, która

rozegrała mecz towarzyski z kolegami z Zakościelnego 24 września 1955 r. Z opisu zamieszczonego na odwrocie zdjęcia wynika, że pokonaliśmy Zakościelne 4:2 (wydarzenie to miało miejsce 60 lat temu!!!). Mecz został rozegrany na łąkach, gdzie pieczę sprawował ów groźny leśniczy. Chyba obawiał się wchodzić w spór z taką ilością młodych wysportowanych ludzi.

Jak wspominałem na wstępie, jubileusz naszych piłkarzy skłonił mnie do refleksji i osobistych wspomnień.

---

*Zenon Niedzielski*

## Wspomnienia pilota

Jako świeżo upieczony absolwent szkoły lotniczej, przybyłem do 34. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego w Gdyni w listopadzie 1956 r. Wcześniej w październiku nastąpiła promocja w Oficerskiej Szkole Lotniczej nr 5 w Radomiu, podczas której uzyskałem tytuł pilota i stopień podporucznika. Wraz ze mną przybyło do jednostki w Babich Dołach trzynastu nowych pilotów.

W kwietniu 1957 r. rozkazem nr 023 zostałem dopuszczony do wykonywania samodzielnych lotów na samolocie szkolno-treningowym Jak-11. W czerwcu 1957 r. została przeprowadzona defilada powietrzna (osiem kluczy), w której uczestniczyłem w 6. kluczu lotniczym na samolocie Lim-1 nr 36. „Start i lądowanie podczas treningów, a później do uroczystej defilady załogi wykonywały z lotniska Babie Doły. Trasa lotu przebiegała na wysokości 1000 metrów przez jezioro Żarnowieckie, jezioro Przywidz, Starogard, Tczew, Gdańsk-Brzeźno, a następnie przejście nad okrętami na wysokości 500 metrów z prędkością całego ugrupowania 700 km/h”.

26 września 1957 r. zgodnie z rozkazem nr 061 dowódcy 34. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego dopuszczono mnie do wykonywania samodzielnych lotów na samolotach Lim-2. 6 sierpnia 1963 r. pułk uczestniczył w treningu OPK, w którym wykonywano loty na pozorację celi powietrznych atakujących rubież 1. KOPK. Wśród wyróżniających się pilotów byłem i ja. W roku 1964 zostałem dowódcą 2. klucza lotniczego w 1. eskadrze pościgowej.

Służba w lotnictwie często graniczyła ze śmiercią. Również i mnie się to przytrafiło. „16 czerwca 1964 r. podczas wykonywania dziennych lotów mogło dojść do katastrofy lotniczej, kiedy por. pil. Z. Niedzielski dowódca 2. klucza lotniczego 1. eskadry pościgowej wykonywał lot na samolocie Lim-5 do strefy nr 1, która była nad Półwyspem Helskim. Por. Niedzielski rozpoczął wykonywanie strefy zgodnie z przewidzianym planem. W końcowej fazie jednej z figur zobaczył na znacznej wysokości coś, co przypominało balon. Niezwłocznie zameldował o tym kierownikowi lotniska i zgodnie z jego poleceniem rozpoczął wznoszenie. Dolatując do celu, przekazał meldunek na stanowisko dowodzenia, że widzi

balon, który przemieszczał się w odległości ok. 20 km na wschód od Półwyspu Helskiego na wysokości 9000 metrów. Kiedy określono jego położenie na podstawie fal radiowych wysyłanych z samolotu por. Niedzielskiego, polecono pilotowi powrót na macierzyste lotnisko, informując jednocześnie o starcie uzbrojonego samolotu w celu zniszczenia balonu. W tym czasie por. Niedzielski wykonał skręt w kierunku lotniska i rozpoczął zniżanie, po którym nagle pilot stracił przytomność spowodowaną niedotlenieniem mózgu. Z tego chwilowego omdlenia obudził go nagle podmuch świeżego powietrza. Pilot był zdezorientowany i kiedy zobaczył przed oczami tablicę przyrządów, jego samolot był w głębokim nurkowaniu. Natychmiast szarpnął drążek sterowy na siebie, a jego samolot gwałtownie rozpoczął wybieranie z niebezpiecznego nurkowania, wciskając pilota w fotel. Pilot odpuścił ster wysokości, następnie przechylił samolot na skrzydło, wyprowadzając samolot dosłownie na paru metrach nad taflą wody. Tak niebezpieczna sytuacja spowodowana była kilkuminutowym lotem na dużej wysokości bez maski tlenowej, co doprowadziło u pilota do niedotlenienia mózgu, a tym samym utraty przytomności. W chwili opadania samolotu na wysokości 2000 metrów ciśnienie atmosferyczne automatycznie otworzyło zawór nadmuchu świeżego powietrza, który był ustawiony na tę wysokość. Mimo tak niebezpiecznej sytuacji, która mogła skończyć się tragicznie, pilot szczęśliwie wylądował na macierzystym lotnisku”<sup>22</sup>.

„W czwartek 6 maja 1965 r. pułk wykonywał loty dziennie-nocne w »TWA«. Na loty wystawiono tylko trzy samoloty szkolno-bojowe. Celem ćwiczeń było szkolenie młodych pilotów do lotów przy wykorzystaniu urządzenia ślepego lądowania. Tego dnia loty wykonywało trzech instruktorów kpt. Zdzisław Bednarek, kpt. pil. Z. Niedzielski i kpt. pil. Stanisław Żeliszczak<sup>37</sup>. W czasie wykonywania lotu załoga w składzie por. pil. Józef Molka i kpt. pil. Zdzisław Bednarek poniosła śmierć w niewyjaśnionych okolicznościach nad morzem. „Ciał pilotów i samolotu nie odnaleziono. 10 czerwca na pokładzie ścigacza MW odbył się symboliczny pogrzeb lotników. [...] 16 września 1965 r. odbył się powtórny pogrzeb kpt. pil.

Zdzisława Bednarka. Zwłoki pilota zostały odnalezione przez rybaków z Gdyni na Zatoce Gdańskiej<sup>47</sup>.

„W maju 1966 r. toczyła się rywalizacja o wzięcie udziału w zawodach o tytuł »Najlepszego klucza lotniczego w wojskach OPK«. Z 34. PLM wytypowano 2. klucza 1. eskadry pościgowej, do którego należeli dowódca klucza kpt. pil. Z. Niedzielski, por. pil. Edmund Osicki i ppor. pil. Jerzy Śmigielski. Po zaciętej walce tytuł »Najlepszego klucza w wojskach OPK« zdobył klucza z 34. PLM pod dowództwem kpt. pil. Z. Niedzielskiego. Piloci mieli do wykonania m.in. takie zadania, jak [...] walki powietrzne parą [...], loty na pułap, loty na małej wysokości [...], przechwytywanie celów manewrujących na wysokości 1300 metrów<sup>57</sup>».

„W związku z planowanym wprowadzeniem do 34. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego samolotów bojowych MiG-21 do jednostki przyszedł rozkaz »przygotować grupę pilotów celem przeszkolenia na samoloty naddźwiękowe<sup>6</sup>«. 1 lutego 1967 r. do Centrum Szkolenia Lotniczego w Modlinie wyjechałem wraz z grupą pilotów, było nas piętnastu. Zostaliśmy wytypowani do odbycia przeszkolenia na samolotach ponaddźwiękowych. 16 marca ukończyliśmy szkolenie z wynikami bardzo dobrymi, które zatwierdził komendant CSL w Modlinie płk pil. Stanisław Tanana. Dwa dni wcześniej do pułku dostarczono 17 fabrycznie nowych samolotów MiG-21. W maju 1967 r. miały odbyć się pierwsze w pułku loty na samolotach MiG-21. Niestety pogoda nie pozwoliła na przeprowadzenie ćwiczeń. Gdy pogoda nieco się poprawiła, wykonaliśmy wraz z kolegami tylko same rozbiegi po pasie z wypuszczonym spadochronem hamującym. Po tych próbach z niecierpliwością czekaliśmy na poprawę pogody. 30 czerwca wykonaliśmy pierwsze loty na pułap na nowych samolotach MiG-21. Wykonując swoje zadanie, osiągnąłem wysokość 19 500 metrów.

„16 lipca 1968 r. miało miejsce poderwanie samolotu MiG-21 z pary dyżurnej na przechwycenie celu manewrującego, jakim był samolot Br. 1150 Atlantic. Kpt. pil. Zenon Niedzielski dokonał przechwycenia samolotu na wysokości miasta Słupsk zaledwie 10 km od wód terytorialnych<sup>7</sup>. Zgodnie z grafikiem miałem obowiązek pełnienia dyżuru (pary dyżurnej) na samolotach naddźwiękowych MiG-21. Pełniąc dyżur, odebrałem telefon ze stanowiska dowodzenia (S.D.) z nakazem gotowości nr 1. Ogłosiłem alarm dla załogi technicznej, z pomocą której zająłem miejsce w kabinie samolotu. Po złożeniu meldunku o gotowości otrzymałem rozkaz uruchomienia silnika. Po kilku minutach kołowałem już na pas startowy. Po starcie i wyłączeniu dopalania zgodnie z poleceniem S.D. wykonałem skręt w prawo na kurs 376 stopni ze wznoszeniem. Na wysokości 4000 metrów dowodzenie przejął II Korpus w Bydgoszczy. Wykonywałem dalsze komendy naprowadzania. Na ekranie celownika radiolokacyjnego ukazał się przechwytywany cel w odległości 20 km i wysokości 6000 metrów. Kiedy zbliżyłem się do celu na 6 km, ze S.D. otrzymałem rozkaz włączenia uzbrojenia. Napięcie zaczęło rosnąć, cel jednak wizualnie nie był widoczny, ponieważ lot odbywał się w chmurach. Chwilę później padła komenda: „Przygotuj się do odpalenia rakiet”. Serce zabiło mocniej. Wtedy

pomyślałem: „To naprawdę jest lot bojowy”. Upłynęło kilka sekund i cel znalazł się w strefie odpalenia. Palec delikatnie dotykał przycisku, czekając na decyzję. Wtedy decyzja zapadła, ale o wyłączeniu uzbrojenia i powrocie do bazy. Napięcie powoli ustępowało. Kiedy wylądowałem, dowiedziałem się, że przechwytywałem samolot szpiegowski typu Atlantic, który zbliżył się do granic Polski. Ponieważ pilot obcego samolotu zorientował się, iż jest przechwytywany, wykonał szybki skręt w morze, oddalając się od granicy Polski.

W czerwcu 1971 r. przeprowadzono loty z wykorzystaniem autostrady koło Goleniowa. Wraz z kolegami wykonaliśmy je na samolotach Lim-5 z 3. eskadry lotniczej. „1 i 2 sierpnia 1972 r. zostały przeprowadzone ćwiczenia Wojsk Obrony Pogranicza państw Układu Warszawskiego pk. »Granit-72«. Ćwiczenia te były surowym sprawdzianem umiejętności i sprawności dowódców, personelu latającego i technicznego pułku. Po raz pierwszy piloci z Babich Dołów wykonali manewr powietrzny z lądowaniem na drodze publicznej koło Rumii. Podczas lotniczych zmagania piloci po wykonanych zadaniach na poligonie oraz wykonanych przechwyceniach lądowali na drodze w okolicach Dębogórza. Droga ta wcześniej została przygotowana pod względem wytrzymałości i ukrytych miejsc postojowych<sup>8</sup>. Lecieliśmy wtedy na samolotach Lim-5. Byłem w 3. eskadrze lotniczej i lądowałem jako pierwszy.

8 marca 1973 r. zostałem dopuszczony jako pierwszy z pilotów do wykonywania samodzielnych lotów na nowym typie samolotu MiG-21MF. „W kolejnych dniach w pułku odbywały się loty na nowym sprzęcie. Piloci wykonywali loty na tzw. rozpędzanie, gdzie osiągalni prędkości rzędu 1950 km/h. Odnotowano także przypadki, w których udało się nawet pokonać barierę 2.05 km/h<sup>9</sup>».

„6 września 1974 r. doszło do niecodziennej sytuacji. Podczas startu pary samolotów MiG-21MF kursem 136 w jednej ze startujących maszyn nie włączyło się dopalanie. [...] W tej sytuacji kierownik lotów nakazał natychmiast przerwać start, nie podając przy tej komendzie indeksu<sup>10</sup>. Prowadząc parę, odczytałem tę korespondencję jako zaprzestanie rozbiegu również mojego samolotu, przerywając tym samym start. Samolot miał już taką prędkość, która umożliwiała mi oderwanie się od ziemi. Wypuściłem spadochron, lecz samolot wytoczył się na trawiastą część drogi startowej, powodując niewielkie uszkodzenie samolotu.

10 czerwca 1975 r. ze względu na stan zdrowia przeszedłem do rezerwy jako major pilot.

Od Redakcji: Biogram majora pilota w stanie spoczynku Zenona Niedzielskiego publikujemy na stronie 61.

#### Przypisy:

<sup>1</sup> K. Kirschenstein, *34. Pułk Lotnictwa Myśliwskiego*, s. 72.

<sup>2</sup> Tamże, s. 119.

<sup>3</sup> Tamże, s. 123.

<sup>4</sup> Tamże, s. 124.

<sup>5</sup> Tamże, s. 130.

<sup>6</sup> Tamże, s. 130.

<sup>7</sup> Tamże, s. 139.

<sup>8</sup> Tamże, s. 167.

<sup>9</sup> Tamże, s. 173.

<sup>10</sup> Tamże, s. 185.